

40. OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

40. OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 28 LISTOPADA 2025 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

Z Tobą

*Ty niedaleko
ode mnie
tylko zdmuchnę
obłok – wierzby
popłynie
modlitwa topól
z tych okien
zabiorę smutek
by blisko siebie mieć
twój uśmiech.*

Mieczysław Stryjewski
z tomu „Białe panny”



Линия, 2025

Анжелика Покровка, 16 лет

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska-Bojke

Tomasz Fopke

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Przemysław Karbowski (Warszawa)

W KATEGORII POEZJI:

I miejsce – nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Grzegorz Chwieduk (Kępice)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Piotr Piątek (Kołobrzeg)

III miejsce
Mariola Kruszewska (Mińsk Mazowiecki)

W KATEGORII PROZY:

I miejsce – nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Paweł Fleszar (Łańcut)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Dominik Kasicki (Gdańsk)

III miejsce
Marcin Bielecki (Warszawa)

NAGRODY SPECJALNE

Nagroda Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej
Agata Sobisz (Lębork)

Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adela Kuik-Kalinowska (Strzelinko)

Nagroda Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Krystyna Lewna (Łęczycę)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PRZEMYSŁAW KARBOWSKI

BIEG NA OSTENTACJĘ

W zmatowiałym zwierciadle podbite oko nie wyglądało najgorzej. Jerzy dodatkowo przejrzał się w kieszonkowym lusterku, które Basia kupiła mu kiedyś na odpuszcie. Rozchichotana nawet nie spojrziała na rewers, pewna że jak na większości, będzie tam fotografia Pierre'a Brice'a w roli Winnetou albo zdjęcie innego gwiazdora westernów. Nic z tych rzeczy. Na odwrocie prężyla się roznegliżowana pani. Baśce mina zrzedła i już chciała wrócić na stragan, żeby wymienić bibelot na inny. Jerzy powstrzymał ją, prowokując niepotrzebną awanturę i głupio żartując, że od teraz będzie się przeglądał z dwóch stron. Niewiele mu zostało po Basi sprzętów, więcej wspomnień, które kisiły się w marynacie pamięci i, zamiast kobietę idealizować, robiły z niej karykaturę. O to nieszczęsne lusterko darła koty co najmniej kilkanaście razy. To Jerzy pamiętał.

Było źle. Krwiał pod okiem barwił się wielokolorowo, ale nie o to szło. W normalnych warunkach Jerzy rozsmarowałby Wiśniewskiego jak margarynę, a ten jeszcze odwinął się prawym prostym. Wtedy Jerzy zdał sobie sprawę, jak bardzo zdziadział. Wręcz przerażająco. Babcia miała na taką okoliczność śmieszne słówko „przyciuchrał”. Niepozorny wymoczek dał radę walnąć go w twarz... Tylko raz, bo Wiśniewski oczywiście zebrał porcję cięgów i zaliczył zderzenie z podłogą, ale będzie mógł się chwalić, że przydzwonił temu zdegradowanemu inteligentowi.

- Dlaczego oni tak na ciebie mówią? – spytała Iza.
- Bo są głupi.
- Pytam poważnie.
- A ja poważnie odpowiadam.
- Fajne lusterko.
- Bardzo fajne. Czemu tak nie wyglądasz?
- No wiesz...
- Wiem.

Rozmowy dwojga zakochanych. Ona zaraz zacznie beczeć, on odprowadzi ją na taksówkę, ona się obrazi, on pójdzie pobiegać. A nie... Już nie pój-

dzie. Skończyło się na jakiś czas albo na zawsze. Tydzień temu Jerzy spróbował ostatni raz, ale po dwustu metrach był tak zlany potem, że dres można było wyżymać.

– Jeszcze nie ryczysz?

– Odwal się! Ja... Ja naprawdę nie rozumiem. – Iza już trzymała klamkę.

– Muszę sobie to wszystko jeszcze raz przemyśleć.

– Przyda ci się, bo robisz to rzadko – wyłożyliwł się Jerzy. – Czynność mocno przyszłościowa, zaręczam ci.

Liczył, że Iza zapyta po raz setny w ostatnim czasie, co się z nim stało? Ale nie odezwała się tylko sama poszła na taksówkę.

* * *

Radio za barem wypłuło z głośnika hejnał. Szczypiński zdążył się wstępnie zaprawić do południa. Jerzy patrzył jak pismak rozlewa wódkę do popalcowanych literatek. Drażnił go ten Szczypiński, ale trochę mniej niż inni dawni koledzy po złamanym piórze.

– Zdązysz wytrzeźwieć do kolegium w redakcji?

Szczypiński parsknął lekceważąco.

– Zdązę się jeszcze raz urznąć, nie bój się – mruknął. – Po jaką cholere stłukłeś to chuchro? Zawsze ci odbijało, teraz już przekraczasz pewne normy.

– Po prostu przeczytałem jego ostatni tomik. Myślałem, że mnie wywróci na drugą stronę. To nadęcie, ta groteska, której on nie dostrzega. Jakies ostrza ironii, jakieś czaszki konwencji, które on, pan poeta, rozbryzguje...

– I trzeba było go bić?

– Jestem już w takim wieku, że dostrzegam plusy edukacji przez przemoc.

Szczypiński łyknął pięćdziesiątkę, zakąsił sałatkę. Śmierdziała gotowanymi do zieloności jajami.

– Głupi to ty jesteś... Wskocz do Marczewskiego. To będzie akt wielkiej odwagi.

– Bo co? – Jerzy skrzywił się. – Bo podwieszony pod ubeków? Nie te czasy, co oni mi mogą zrobić? Gomułka już dawno na śmietniku.

– Różne rzeczy mogą – zamyślił się Szczypiński. – Słuchaj... Wiem, że nigdy o tym nie mówiłeś, ale... Na co zmarła Basia?

– Na śmierć – wycedził Jerzy. – O co ci chodzi?

– Ja może jestem nawalony, ale nie ślepy. I widzę, że ty po prostu jesteś chory. Widziałem tydzień temu, jak podbiegałeś do tramwaju. Po tym jak obraziłeś Ryśka w „Salamandrze”.

– Sam się poprosił. Powinienem dać mu w mordę. Wszystkim wam powinienem dać w mordę.

Szczypiński wypuścił powietrze przez zęby. Przez chwilę pili w milczeniu. Tylko w radiu Jaroszewicz ewidentnie z kartki dukał coś o dynamice rozwoju społeczno-gospodarczego, rzetelnym trudzie i ogromnym wysiłku ludzi pracy.

– Mógłby się chociaż czytać nauczyć – szepnął teatralnie Szczypiński.
– Przez szacunek dla ludzi pracy. Pies go trącał. Co to ja mówiłem?

– Mówiłeś dużo i bez sensu.

– A! O tym bieganiu... Pięćdziesiąt metrów i ty ledwo wsiadłeś do tego tramwaju. Ty się, człowieku, na nogach ślaniałeś!

– I dlatego pomyślałeś o Basi? Że mi sprzedała syfa, a teraz sobie zdechnę? Ty gnojku patentowy...

Jerzy ani myślał wznosić ręki do ciosu, ale Szczypiński odruchowo zasłonił twarz. Przez moment zastygł w bezruchu, jakby parodiował świętego Pawła z obrazu Caravaggia. Opuścił dłonie na blat, gdy już miał pewność, że nic mu nie grozi. Jerzy wstał od stolika i bez pożegnania ruszył do wyjścia.

– Zdychaj sobie z przytupem! – wybełkotał za nim Szczypiński. – Tylko nie krzywdź tej dziewczyny!

* * *

Świadomość, że spośród wszystkich znajomych przejrzał go właśnie Szczypiński, nie pomagała. Był to kolejny dowód na to, jak bardzo głęboko gdzieś kumple mieli Jerzego. Poniewierał się z nimi w różnych konfiguracjach przez kilkanaście lat szkoły i najdziwniejszych kierunków studiów, byle tylko wywinąć się od kamaszy. Kilku kolegów samozwańczo uznało, że mają talenty do zmarnowania. Pisali do szuflad, ale od wielkiego dzwonu publikowali. Tu wiersz, tam opowiadanie; w pomniejszych czasopismach literackich świecili światłem odbitym od gwiazd pisarstwa, cieszyli się jak dzieci swoimi nazwiskami obok tych najświetniejszych, inkasowali grosze. Taki Szczypiński w końcu wylądował w gazecie, której naczelny zsyłał go na prowincję, żeby pisał reportaże o biedzie, lokalnych układach, o tym że socjalizm „tak” a wypaczenia „nie”. Pierwsze publikacje, w które włożył całe serce i cięte pióro zatrzymywała mu cenzura albo poprawiali szefowie działu. Szczypiński nie poznawał swoich tekstów. Z niemocy rozpił się brzydko. Owszem, jeździł w delegacje, ale wszystkie reportaże pisał, jak sarkastycznie twierdził, zgodnie z polską szkołą tego trudnego gatunku. Mianowicie wszystko było wymyślone. Literalnie wszystko. Na łamy gazet idealne.

Koledzy byli przekonani, że w ich paczce to właśnie Jerzy miał talent największy, co zaowocowało drukiem kilku wierszy. Sam Jerzy uważał dokładnie odwrotnie, mało tego, zaznaczał głośno i dobitnie, że reszta pseudoliterackiej ferajny również go nie ma. Tym bardziej mierzyły go sabaty nad wódką

i piwem, podczas których trzecioligowcy gardłowali o sztuce ze swadą co najmniej pierwszoligowych krytyków. Wszystko najlepiej wiedzieli, a potem taki Józio Wiśniewski pysznił się tomikiem wierszy o nieszczęsnych „ostrzach ironii” i „czaszках konwencji”. Jeszcze ciężko zdziwiony, że dostał w pysk...

Kiedy Jerzy po studiach zaczął pracować fizycznie, znajomi uznali to za pozę, prowokację, swoistą formę buntu. Inna sprawa, że niezbyt fortunnie argumentowali za przewagami etatu referenta czy księgowego nad fuchą z łopatą i cementem w rolach głównych. A Jerzy po prostu nie chciał do emerytury tłuc w maszynę do pisania, by płodzić sprawozdania z narad o zba wiennym wpływie racjonalizacji na dobro zakładu. Wolał się zmęczyć jako robot i nikomu oczu nie szklić trudem inteligenta-gryzi piórka. Jego wybuchowość tłumaczyli frustracją, okazjonalne bójkę mieli za kiepskie i spóźnione o prawie dekadę próby naśladowania Brychta albo Iredyńskiego. Wtedy Jerzemu nerwy puszczały ponad miarę, bo zdawał sobie sprawę, że oni naprawdę go nie rozumieją. „Inteligent zdegradowany...” Nawet tej zbitki sami nie wymyślili; Jerzy przysięgłby, że słyszał ją w którejś radiowej rozmówce Friedmanna z Koftą.

Na pytanie jak długo będzie się bawił w robotnika, odpowiadał, że dopóki zdrowie pozwoli. Właśnie przestało pozwalać.

* * *

– Gadałaś z Majką! – Jerzy naskoczył na Izę po niedzielnym obiedzie. – Szczypiński mi powiedział, że bym przestał cię krzywdzić. Debil...

– Smakowało? – Iza zmarszczyła brwi. – Nie psuj nastroju. To już pogadać nie wolno?

– Wolno, wolno, tylko to nieśmieszna farsa, kiedy za umoralniające gadki bierze się pijak, któremu Majka ściąga buty, bo wałnął się w nich na zarzygane łóżko. Nad nią się nie zastanowił? Że może ją krzywdzić?! Palant.

– Ona go kocha. A ty mnie kochasz?

– Było pyszne. – Jerzy wstał od stołu, rozciągając obolałe stawy. – Naprawdę.

Iza sprzątała talerze, naburmuszona jak zwykle, gdy nie udało jej się z Jerzego wydusić żadnej deklaracji uczuć. Pojednawczo podreptał za nią do maciupieńkiej ślepej kuchni, by poudawać pomoc w zmywaniu. Ze zgrozą uświadomił sobie, że zmęczyło go przejście kilku kroków. Pot spływał Jerzemu po czole i plecach.

Podejrzanie sarkoidozy. Tyle usłyszał od konowała, który na zdjęciu rentgenowskim niby coś widział, niby nie widział, mamrotał o braku pewności. O nieswoistych objawach. Trzy dni w szpitalu zaowocowały jedynie podpię-

ciem pod kroplówkę ze środkiem przeciwbólowym. Nie mieli Jerzego gdzie położyć, w końcu wylądował na nefrologii. Izie nawet nie powiedział, gdzie zniknął na prawie pół tygodnia. Była obrażona i zazdrosna o piękność z lusterka, więc widocznie przez ten czas ani nie dzwoniła, ani go nie szukała, bo tematu nieobecności Jerzego u siebie w mieszkaniu nie poruszyła. Korzystny splot okoliczności.

– Ile ja się od ciebie nasłuchiłam komplementów – rozmarzyła się Iza, nie zwracając uwagi, że kran charknął rdzawą breją. – Jaki ty byłeś milutki, bo byłam obca, cudza, nowa...

– A ja w małżeństwie z Basią – dopowiedział zgryźliwie Jerzy. – To cię najbardziej podniecało.

– Przecież nie była twoją żoną! Co ty mi tu sprzedajesz?

– Nie mieliśmy ślubu. A to nie to samo. Uważaliśmy się za męża i żonę.

– Jasne...

Jerzy poczuł, że uzbierał siły na wycieranie naczyń. Powoli wyjmował Izie z rąk opłukane szklanki i talerze. Po przerwie w dostawie wody, rury oczyściły się na tyle, że z kranu płynęła już całkiem czysta ciecz.

– Szkło tą drugą ścierką – upomniała go Iza.

Zapomniał. Rozejrzał się po kuchni, w której po przeprowadzce do Izy będzie przesiadywał i patrzył jak kobieta gotuje oraz zmywa. Małe mieszkanko po ciotce Izy powinno im wystarczyć. Szkoda pieniędzy na wynajem jeszcze mniejszej kłitki, do której Jerzy wprowadził się po śmierci Basi. Tutaj opłaty podzielią na dwoje, rozplanują w zeszycie wydatki, razem ułożą budżet, napiszą wspólną prozę życia. Jerzy szybko policzył w myślach lata pracy. Czy, w razie najgorszego, będzie mógł ubiegać się o rentę? Nigdy nie zaprzętał sobie głowy taką ewentualnością, ale jeśli wciąż będzie kolekcjonował zwolnienia lekarskie, to w końcu wyślą go na jakąś komisję. Nie można w nieskończoność chorować. Żeby taki okaz zdrowia, chłop jak dąb, byk z ledwo napoczętym czwartym krzyżykiem na karku, snuł podobne rozważania... Świat się kończył.

– Co innego flirtować, błaznować. – Jerzy powrócił do, wydawałoby się, urwanego wątku. – Fantazjować, wdzięczyć się, rozśmieszać...

– Rozumiem – przerwała mu Iza. – Fantazjowałeś o mnie, a potem się rozczarowałeś. Nie masz pojęcia, jak mnie to podbudowało. Poczułam się wyjątkowo. Coś ty taki spocony? Jak mysz w połogu normalnie.

Rychło w czas zauważyła. Tak jak i koledzy. Poza Szczypińskim, który zachował w przepitych oczach błysk dziennikarskiej spostrzegawczości. Przecież w „Salamandrze” prawie drzemał, wtulając głowę w talerz niczym w poduszkę, ale przez brudną jak nieszczęście szybę dostrzegł, że Jerzy nieludzko męczy się, biegnąc na tramwaj.

– Majka śmiała się, że on nazywa cię biegaczem na ostentację.

– Co? – Jerzy ocknął się. – Kto?

– No, Szczypiński.

– Nie wymyślił tego sam, pewnie gdzieś przeczytał.

Wrócili do pokoju. Iza nastawiła płytę i poszła umyć zęby. Jerzy został z Urszulą Sipińską, która wyśpiewywała o kukuleczce na tle dziwacznej aranżacji. Podwinął rękawy koszuli i szpetnie zaklął pod nosem. W zgięciu łokcia mieniła się tęcza po sfuszerowanym wkluciu wenflonu. Jak on tego nie zauważył?! Rozbierze się, to Iza zada sto pytań. Jeszcze posądzi go o narkomanię. Szybko opuścił rękawy, zadowolony, że Iza po powrocie z łazienki nie zdradza żadnego zainteresowania jego spoconym ciałem. Aby do wygojenia sinia-ka wykluczyć potencjalne zbliżenie, Jerzy postanowił zagrać ostro.

– Inaczej bym cię traktował, gdyby Basia żyła – powiedział twardo. – Gdyby się z nią rozstał, gdybyś jej mnie odbiła, wszystko byłoby inaczej. Ale ona umarła!

– Chyba masz rację – apatycznie zgodziła się Iza. – Ty po prostu wierzysz w sprawczą moc słów i myśli. I wyżywasz się na mnie za to, że cię pokochałam, że myślałam, jak by to było z tobą, że o tym mówiłam, że się nad tym zastanawiałam...

Jerzy zawstydzony spuścił głowę. Nie spodziewał się po Izie aż takiej przenikliwości.

– A ty niby nigdy o tym nie pomyślałeś? – zasyczała, zupełnie jak nie ona. – Nie przyszło ci do głowy, co by było, gdyby tak Basia umarła i miałbyś mnie wreszcie na wyciągnięcie ręki? Może to nawet powiedziałeś na głos? Przyznaj się!

– Przestań!

– Zabiłeś ją tymi cholernymi myślami! – krzyknęła Iza. – A ja okazałam się wielkim rozczarowaniem! Dopiero teraz to widzisz.

– To nie tak!

Niewiele brakowało a Jerzy wygadałby się, że jest chory, że od prawie dwóch miesięcy nie pracuje. Od trzech tygodni nie biega, a w ogóle to już leżał w szpitalu i dalej nie wiedzą, co mu jest.

Milcząc, pozwolili wyszumieć się Sipińskiej do końca strony „A” winylu. Iza zawzięła się na tyle, że ani myślała płakać w obecności mężczyzny. Zawstydzony Jerzy cmoknął ją w czoło i bez słowa poszedł na przystanek. Dopiero wtedy Iza rozryczała się na dobre, przeklinając siebie, jaka jest głupia, nie chcąc zranić męskiej dumy tego gnojka, w którym miała nieszczęście się zadurzyć. Bezsensownie domaga się abstrakcyjnych wyjaśnień, co się z nim dzieje, ale nie wypytuje Jerzego wprost o chorobę, która zżera go w zastrasza-

jącym tempie. Nawet nie pyta, czy był u lekarza, bo się boi. Bo już zdążyła pomyśleć, jak to będzie, gdy Jerzy umrze?

* * *

Smarkacz z oddziału torakochirurgii był nieco zawstydzony. Jeszcze nie przesiąkł lekarskim cynizmem, wciąż patrzył na pacjentów jak na ludzi a nie kawałki mięsa. Na jak długo wystarczy mu tak rozbrajającego człowieczeństwa, pomyślał Jerzy. Na rok? Trzy lata?

– Oczywiście wziął pan maszynkę do golenia? – spytał młody adiunkt.

– Wziąłem, bo tak było napisane w wytycznych. – Jerzy wzruszył ramionami. – Nie wiem tylko, po co?

– Musi pan ogolić fragment klatki piersiowej. Doktor zrobiłby mi ładną awanturę, gdyby z tym futrem wjechał pan na salę operacyjną... To musi być precyzyjne, krótkie cięcie. Nie ma czasu na piłowanie skalpelem kłaków.

– Dam radę. – Jerzy uśmiechnął się wymuszenie.

Mediastinoskopia miała dać ostateczną odpowiedź. Ot, pokroją, pobiorą wycinek do badań i nie będzie potrzeby bawić się w zgaduj-zgadulę na podstawie niepewnych wyników i nieprzejrzystych zdjęć rentgenowskich. Tylko z blizny nad mostkiem trzeba się będzie przed Izą wytłumaczyć. To nie siniak po igle, który zniknął podobnie jak jego krewniak spod oka – pamiątka po ciosie Wiśniewskiego.

* * *

Pobieżna lektura kopii dokumentacji, w której posiadanie Szczypiński wszedł sobie tylko znanymi sposobami, sprawiła, że Iza zaczęła dygotać. Złapała się za usta jakby chciała powstrzymać wymioty. Wytrzeszczone ciemne oczy nabiegły jej łzami.

– Dziękuję ci – powiedziała, wyciągając z torebki dwie „pięćsetki”.

– Zabieraj to! – Szczypiński warknął tak głośno, że część gości w restauracji podniosła wzrok znad talerzy.

– Wykonałeś pracę...

– Uspokój się! Dzięki tobie poczułem się jak prawdziwy dziennikarz śledczy, a nie popychadło od tropienia przekrętów w pegeerze albo geesie.

Iza schowała banknoty z Kościuszką i jeszcze raz zaczęła przeglądać papiery.

– Ziarnica złośliwa... – szepnęła. – Brzmi strasznie, prawda?

Szczypiński wlał w siebie kieliszek jarzębiaku.

– To są tylko podejrzenia panów lekarzy – zauważył. – Ten wczorajszy zabieg ma dać pewność.

– Długo będzie leżał w szpitalu?

– Najdalej jutro go wykopią. To jest masówka jak na taśmie w fabryce. Narkoza, cięcie, następny proszę.

Iza machinalnie wbijała widelczyk w wuzetkę. Masakrowane ciastko gubiło fakturę, krem wyciskał się na boki. Szczypińskiemu skojarzyło się to z żukiem, którego jako dziecko przydusił patykiem, kiedy owad wędrował po ścianie dziadkowej chałupy. Też wypłynął z niego podobny krem. Wzdrygnął się.

– Najlepiej będzie dać mu teraz spokój – zalecił Izie. – Sam się odezwie, zadzwoni albo przywlecze się jak zбитy kundel.

– Myślisz?

– W końcu pięknie. Zawsze młody, silny, pan biegacz pełną gębą a tu śmierć zagląda do tyłka... To boli bardziej niż gdyby był pokrzywionym przez polio cherlakiem, uwierz mi. Przecież te jego głupawe paroksyzmy były zwykłą reakcją obronną. Wszystkich obrażę, wystrzelam po pyskach, poznęcam się nad dziewczyną, a nuż poczuję się lepiej?

Iza kiwała głową nad zimną już kawą.

– Zadzwoni – pocieszył ją Szczypiński. – Powie coś miłego, może się rozklei, przeprosi. Jak w dobrym romansie.

– Nie, Pawełku. – Głos Izy nabrał surowości. – Zabije go nowotwór. Jak w bardzo złym romansie, a mi zostanie kilka zdjęć.

* * *

Dwa tygodnie oczekiwania na wyniki badań histopatologicznych to była tortura. Jerzy leżał na tapczanie całymi dniami, zwlekając się tylko do łazienki albo żeby wyjść do sklepu po coś do jedzenia. Odrastały mu włosy wokół blizny na klatce piersiowej, dziwacznie, jakby uciekając na boki od śladów po szwach.

Dostał od Izy telegram, że wzięła urlop i pojechała do Szczecina, do chorej kuzynki. Nigdy nie wspominała o żadnej kuzynce ani o Szczecinie. Raczej nie mogła to być córka ciotki, która zapisała Izie mieszkanie, bo przecież to ona dziedziczyłaby w pierwszej kolejności. Chora kuzynka... A on niby jest zdrowy? Jerzy poczuł dziecienną złość na Izę. Przecież mogła zadzwonić, ileż to roboty? Chyba że po jego ostatnich wyskokach, na które złożyła się mieszanka obojętności i grubiaństwa, Iza postanowiła, zgodnie z zapowiedzią, wszystko sobie przemyśleć. Przemyśli i go zostawi. On umrze na raka. Ona zapłacze, ale i odetchnie. Klisza z literatury najniższych lotów.

Kiedy lekarz zaczął Jerzemu gratulować, ten zapomniał języka w gębie. Trudno to było sensownie skomentować, nie mówiąc już o pokusie wyciągania wniosków własnych. Wyszło po prostu na to, że Jerzy ma gruźlicę węzłów chłonnych śródpiersia i, paradoksalnie, jest to radosna okoliczność.

– Jakiś psalm mam zaśpiewać? – Jerzy zdobył się na ironię, gdy już, *no men omen*, ochłonął. – Odstawić taniec radości?

– Dajemy chorym wybór – zaśmiał się doktor. – To się już leczy. Trochę pan poleży, sto zastrzyków, tysiąc tabletek i do domu!

– Czyli nie zarażam?

– To gruźlica zamknięta – wyjaśnił lekarz. – Oczywiście w szpitalu będzie pan pluł do fiolek, żeby sprawdzili, czy pan nie prątkuje, ale rokowania są dość pomyślne. Nowotwór zmiótłby pana w kilka miesięcy. W tym wypadku jest szansa na całkowite wyleczenie.

Jerzy jeszcze nie dowierzał, zwłaszcza że oto miał się radować swoją tuberkulozą. Gruźlik to nie brzmi dumnie. Poczuł się groteskowo odarty z powagi chorego znacznie ciężej. Mało tego, refleksja, że w ogóle myśli tymi kategoriami, podsunęła mu podejrzenie choroby psychicznej. Nie może być normalne rozczarowanie z powodu lepszego stanu zdrowia niż się spodziewał.

– To może i będę biegł, jak już mnie wyleczą?

– Pewnie! – Lekarz wałnął pieczętką w skierowanie do szpitala. – Prosto do ołtarza!

* * *

Tym razem Szczypiński wziął od Izy pięćset złotych. Z ociąganiem, ale jednak.

– Trzem pielęgniarkom musiałem dać w łapę – wyjaśnił tonem usprawiedliwienia. – Ale jedną pociągnąłem za język i nie jest źle. Naprawdę.

Iza spojrzała dziennikarzowi w oczy.

– Moja babcia zmarła na gruźlicę – mówiła drżącym głosem. – Chrzestnemu brakło żeber do wycinania. Boże, jak on nazywał tę straszną operację? Zapomniałam...

– Plastyka – odpowiedział Szczypiński. – Dziewczyno, każdy z nas miał w rodzinie legiony gruźlików, ale medycyna poszła do przodu! Słuchaj, ty wiesz na co zmarła Basia? Jerzy jakoś nigdy nie wspomniał. Temat tabu, wielka tajemnica. Nie miała rodziny, więc nawet nie było kogo podpytać.

– Podobno coś jej pękło w głowie – zastanowiła się Iza. – Tętniak, krwotok, coś podobnego. Na pewno nie zmarła na gruźlicę!

Szczypiński pokiwał głową.

– Ktoś kiedyś puścił plotkę, że się zabiła – palnął bez zastanowienia. – Taka smarkula... Czego ta dziewczyna w życiu użyła?

– O tym nie pomyślałam – Iza obgryzła nadłamany paznokieć. – Chociaż powinnam.

– Daj spokój! To było pół żartem, pół serio. Jestem pijany, wymyśliłem to sobie...

Nie dało się cofnąć niewczesnych słów. Poleciały w eter, rozplynęły się we wnętrzu pustawego lokalu, ale nie straciły ani odrobiny znaczenia.

– Uśmiejesz się, ale podczas naszego ostatniego spotkania wykrzyczałam Jerzemu w twarz, że zabił Basię. Sama się zabiła czy on ją zabił, to są teraz nieistotne szczegóły. W którym szpitalu ma się zameldować?

* * *

Pierwszy tydzień jakoś zleciał. Jerzy kompulsywnie czytał po kolei książki ze szpitalnej biblioteki, bez względu na rodzaj i tematykę, byle mijał czas. Zainkasował siedem mocnych zastrzyków i kiepską perspektywę jeszcze co najmniej pięćdziesięciu trzech. Liczba łykanych tabletek zakrawała na niepoliczalną.

Kiedy już ułożył w myślach, co powie Izie, postanowił zadzwonić z oddziałowej dyżurki. Powie, że ją kocha, żeby się nie martwiła. Wy tłumaczy, że leży w placówce przeciwgruźliczej, ale wszystko będzie dobrze. Nawiąże do „Czarodziejskiej góry” Manna i „Na marginesie życia” Grzesiuka, żeby powymądrzać się przed Izą, objaśniając gruźlicze konteksty obu książek, których, założyłby się, nie czytała.

– Do pana. – Sanitariusz wyrwał Jerzego z powtarzania w myślach kolejnych fraz, które Iza usłyszy przez telefon.

„Wyjeżdżam do Szczecina. Tym razem naprawdę. Nie szukaj mnie.” Tyle przeczytał zanim kopnął z całej siły w rachityczny regał. Książki sypały się bezładnie na śmierdzącą lizolem podłogę.

Jerzy bez sensu i celu pobiegł korytarzem. Telegram od Izy zgubił po drodze.

I MIEJSCE
NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA
GRZEGORZ CHWIEDUK

MIESZKAM GDZIE INDZIEJ

Mieszkam gdzie indziej,
choć listy przychodzą tu.
Adres ten sam,
ale mnie tu coraz mniej.

Otwieram okno rano,
żeby wpuszczać życie,
ale ono wchodzi tylko do połowy.
Potem zawraca.

Ludzie mówią do mnie
jak do ściany,
która ma nauczyć się odpowiadać „tak”.

Ciało chodzi do pracy,
kupuje chleb,
odbiera telefony.
Ale dusza została
gdzieś pod stołem dzieciństwa,
tam, gdzie nie trzeba było
udawać.

Widzę siebie w tramwaju,
w odbiciu szyby.
I myślę:
ta kobieta ma moje oczy,
ale patrzy, jakby już dawno wyjechała.

* * *

Pod łóżkiem leżał zeszyt,
ten, w którym zapisywałem rzeczy,
o których nie wolno było mówić.

Mama prasowała ciszę,
składała ją w równe kostki
i układała do szafy,
obok zapasowych prześcieradeł
i starego albumu
z twarzą babci,
która nigdy się nie śmiała.

W domu pachniało zupą
i czymś jeszcze,
co nie miało nazwy,
a co osiadało na ścianach
i sercu.

Ojciec nie mówił zbyt wiele.
Z jego milczenia można było
zbudować szafę,
drzwi,
a czasem mur,
za którym ukrywałem się
z misiem z oderwanym uchem.

Byłem dzieckiem,
ale już wtedy wiedziałem,
że niektórych rzeczy
nie naprawi się nicią
ani plastrem z Kubusiem Puchatkiem.

CHŁOPIEC SPOD TRÓJKI

Miał wiecznie brudne paznokcie
i oczy jak jezioro w listopadzie.
Nigdy się nie uśmiechał do końca,
jakby coś trzymało go za kąciki ust.

Stał pod blokiem,
oparty o rower bez dzwonka.
Palił papierosy,
ale mówił, że nie wciąga.

Raz podał swój zeszyt
i dotknął na chwilę mojej dłoni.
Od tamtej pory
wszystkie słowa
przestawały mi się mieścić
w gardle.

Mama mówiła: „Nie zadawaj się z nim”,
ale serce już wtedy
nie słuchało nikogo.

Pewnego dnia wyjechał.
Bez pożegnania, bez adresu,
zostawił tylko
rysę z sercem na ławce
i smak wiśniowej gumy Orbit
we wspomnieniu.

Dziś pewnie ma dzieci,
psa, kredyt, żonę.
Ale czasem jeszcze śnię,
że trzyma moją dłoń
i milczymy razem
najpiękniej, jak potrafimy.

ULICA KOŚCIELNA 12

Mieszkanie miało dwa pokoje
i ściany cienkie jak obietnice.
Na parapecie rosła pelargonja
i wieczna nadzieja,
że gdzieś indziej jest więcej życia.

W szkole mówili:
„Bądź grzeczna”,
czyli – nie pytaj, nie wychylaj się,
nie śnij głośno.

W niedzielę szło się do kościoła,
a po mszy
wszyscy wszystko o wszystkich
wiedzieli lepiej niż Bóg.

Marzenia pakowała do zeszytu -
pomiędzy temat: „Moja rodzina”
a wypracowanie o tym,
dlaczego warto być skromną.

Czasem patrzyłam na pociągi.
Nie żeby uciec -
raczej żeby wiedzieć,
że można.

Matka mówiła:
„Tylko nie zrób nam wstydu”.
Ale wstyd to było zostać.
I żyć czymś wyobrażeniem
o mnie.

II MIEJSCE NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

PIOTR PIĄTEK

GDY SPADNIE DESZCZ I POKALECZĄ NAS KAŁUŻE

zanosi się na deszcz, wróżę to z jaskółek
śmiało pikujących między rozpędzone auta
w miejscach gdzie narasta wilgoć, rozchodzi się po ścianach
tam nasza skóra wygląda jak szkliwo
szlam zalewa rury i woda nie chce odejść z pełnego mydlin zlewu

gdy spadnie deszcz i pokaleczą nas kałuże
szepnę ci że od martwych odróżnia nas jedynie woda
puszczana dla niepoznaki aby zagłuszyć ciszę

coś pękło w nas niezauważenie jak zapadająca się gwiazda
boję się że ktoś tu wejdzie i każe otworzyć oczy, dawkować oddech
każe wsadzać sobie do głów jedzenie i wyciągać stamtąd słowa
jakbyśmy pozbywali się ości

zanosi się na deszcz, w murach i kaloryferach już płynie woda
w nocy bezpańskie psy rozszarpały człowieka, który był zbyt pijany
by wzywać pomocy, za dnia mój czas wypatrzył mnie i ślizga się
jak dziewczynka na rolkach, im więcej dziur w spodniach
tym lepszy lifestyle

jest taka wilgoć w powietrzu że nie schną ci włosy
gdy spadnie deszcz coś pęknie w nas
i może nauczę cię wtedy wierzyć że jest coś więcej
w obkładaniu wszystkiego i wszystkich
warstwą piszczącego styropianu

ZASTYGŁE MIĘŚNIE, PRZYCZAJONE ŚCIĘGNA

w domu naprzeciw ktoś krzychał, wczepiony mocno w ramę okna
aż palce zbieleły
a ja widzę wszystko co sterczy, wystaje z ziemi, byle jak poupychane
przestrzenne szkice na heblowanych deskach
światło przy lampie kreślarskiej pada na śpiącego psa
i na nasadkę węglowego ołówka

w domu naprzeciw ręka która rysuje, zastygłe mięśnie, przyczajone ścięgna
ręka wyciągnięta w osobistą ciemność gdzie zawsze znajdziemy coś nieodkrytego
co jeszcze nie ma znaczenia
gdzie robi się pusto od braku jakichkolwiek odniesień
niedopałki papierosów dodają otuchy
zakorzenienie w pustce sprawia że ludzie zamierają w bezruchu
żarówka dynda na drucie jak małeńka czaszka
kiedy się przepali, świat zniknie

w domu naprzeciw ktoś krzychał, wychylał się przez okno
tam coś wisi w powietrzu i wchodzi do gardła
ludzie wciąż nie wiedzą czy ciemność nadal pracuje i jak układa rzeczy
tam życie zostawia na skórze rdzawe ślady
ja uczyć się wątpić bym nigdy nie przestał zadawać pytania
nie wmieszał w to boga

WAPNO SYPIE SIĘ NA MARTWE CIAŁA

czy pamiętasz jak podkładałeś ogień pod nasz dom
i tłumaczyłeś że jak wielki dom to wielki ogień
całowałeś liście i rozdawałeś je dziewczynom
wycinałeś sobie ich inicjały na rękach
one brały cię na bok i zaglądały w oczy

bielone ściany na kartce papieru potrafiły tańczyć
pelargonie w oknie były jak krew buchająca z oczodołów
miałem suche gardło, zbierałem ślinę i przełykałem gorycz
próbowałem wejść pod własną skórę by zaobserwować
rozpad komórek albo jakieś niezdrowe namnażanie

czy pamiętasz do kogo należy ta śmierć, ten widok
komu oddać sierść mięso i kości, otwieram okno
sąsiad zamiata liście, glina jest wszędzie taka sama
światło rozszczepia się tuż przy skórze
potrafi otworzyć rany, rozdrapać blizny

są sny zawieszone w ciele, ich fioletowe fale
jak mgła w denaturacie
świat karmi się mlekiem i schłodzoną rtęcią
słowa grzęzną w zimnym powietrzu jak we wnętrzu ptaka
kiedy wszystko sprowadza się do braku słów
moje sny są w kawałkach jak przerywany oddech pod respiratorem

CUDÓW NIE MA I NIE BĘDZIE

nie będzie prawdziwych podróży w twoim życiu
pozostanie ci zmiana tapet i wykładzin
obrazy w głowie i obrazy na ścianach
będziesz mieszkał w jaskini z malowidłami
które twoje dłonie stworzą przez sen

nikt nie wie jak ci się spieszy
chciałbyś ścigać się ze światłem
z kursorem na czarnym ekranie

masz mnóstwo piasku pachnącego łuską węża
morze które na życzenie rozcina się na dwoje
pokazując białe podbrzusze dna
jest długa i nudna opowieść o miłości
w niej zmyślony świat

nie będzie prawdziwego uczucia w twoim życiu
czas co wlecze się jak ranny recepcjonista
sprawi że nie dowiesz się czy ciemność nadal pracuje
i jak układa rzeczy
będziesz uważał na psa mającego oddech starego człowieka
którego uśmiech zamienia się w grymas

nikt nie wie dlaczego gdy odwracasz wzrok
znika to za czym tęsknisz
dlaczego latem w kościele widzisz pod światło
jak unosi się kurz

cudów nie ma i nie będzie
może zobaczysz kiedyś jak jakaś dziewczyna
pod stołem zsunie buty ze stóp napiętych jak łuki
palce zaczepi o poprzeczkę krzesła
może zobaczysz że kostki ma ostre jak muszle
palce ze śladami czegoś co nie będzie już nigdy

III MIEJSCE

MARIOŁA KRUSZEWSKA

WNUK BUDUJE DRZEWO GENEALOGICZNE

gdzie byliście do tej pory
moi pomarli przodkowie
o twarzach biało-czarnych i pogiętych

matka miała do was żal za te morgi pod lasem
więc wyrzuciła was za próg
pamięci

pęcznieliście obrośli w kurz
na dnie szuflady z zardzewiałym zamkiem
gdzie panował wymodlony święty spokój

czemu teraz wołacie
zmartwychwstali na lekcjach historii
ubrani w naftalinowe imiona i daty martwe jak wy

przychodźcie w ludzkiej postaci
w mój czas
w mój świat

jak do siebie

PIĘĆDZIESIĄT PLUS

przy tobie
spokojnie jem kolację palcami
a noc jest długa i przewidywalna

latem jeździmy wciąż w te same miejsca
od dawna niepoetyckie
przeszłe jak zadziwienia

czytamy inne książki
na inne filmy chodzimy do kina
oddzielnie

widzimy świat poza sobą
i nie mamy o czym milczeć
apetyt też dopisuje

na szczęście dla nas oduczyliśmy się
miłości
teraz uczymy się odchodzić każde

we własnym kierunku

JAK NIKODEM*

chciałabym
usiąść z Tobą przy niedzielnym obiedzie tak po prostu
jak człowiek z Człowiekiem
podać rosół i schabowego z kapustą
patrzeć jak pijesz wino z Graala firmy Krosno
i wschodnim zwyczajem pogryzasz wszystko chlebem
od Oskroby
ciekawe czy smakowałaby Ci moja ulubiona kawa Tchibo
oczywiście ta granatowa
i sernik jak zwykle nieco przypalony

a mnie
czy przypadłaby do gustu rozmowa bez cukrzenia
bo przecież nie na jedzenie zaprosiłam Boga
łajałbyś czy raczej nie wypadałoby krytykować gospodyni
przy mężu i dzieciach
może mimochodem jakieś dobre uczynki wpadłyby
jak śliwka w kompot

wiem
że odwracałabym wzrok od Twoich dziur w dłoniach
od spojrzenia paliłby mnie wstyd
na stół rozlałby się cały ocean skrępowania
głowę zgubiłabym w ramionach i modliła się
o Twoje rychłe wyjście

może więc lepiej się stało
że Cię nie zaprosiłam

*Wiersz zawiera lokowanie produktów

BECZ I DZWOŃ DZWONECZKIEM*

nie lubiłam zabawy w chowanego
bałam się że mnie nigdy nie znajdą
zestarzeję się w tej dziurze i umrę

białe podkolanówki wystające z ukrycia
krzyczały z całej jaskrawości
tu jestem tu jestem

dzieciaki śmiały się z ciamajdy
a ja oddychałam z ulgą

z tamtych lat pozostało mi zamięłowanie
do białych ubrań
więc powinno być Ci łatwiej

znajdź mnie Panie Boże
nie kryję się
wystawiam serce na jaskrawość dnia
na światła reflektorów
na pośmiewisko ateuszy

wołaj mnie po imieniu
w burzy i ciszy śniegowego puchu
gdy piję wtorkową kawę
gdy dzielę się opłatkiem

do skutku

spiesz się
już jestem stara

*ks. Piotr Pawlukiewicz

I MIEJSCE NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

PAWEŁ FLESZAR

CZŁOWIEK WOLNY IDZIE DO PIEKŁA DROGĄ, JAKA MU SIĘ PODOBA

Za oknami dawno zgasł powszedni gwar placu Vendome, północ przyniosła ochłodę po skwarze letniego dnia, ale w salonie na piętrze pałacu markiza Montmorency stawki rozgrzewały graczy, jak węgle piec, a pod żyrandolami zderzały się ich bezgłośnie krzyki o pożądaną kartę. Siedzieli wokoło dużego okrągłego stołu nakrytego zielonym suknem, każdy z własnej talii wyciągnął jedną kartę i na niej położył stawiane pieniądze. Karty i kwoty były różne.

Hrabia Roman Potocki był bankierem; skończył właśnie tasowanie głównej talii i począł wyklądać pojedynczo karty na dwóch kupkach przed sobą. Grali w faraona, wynalezione go nad Sekwaną dwieście lat temu, dzisiaj popularnego nawet za oceanem, który w Polsce zwicznął niejedną świetną karierę i dyslokował wiele fortun, zmieniając biedaków w magnatów, a bogaczy w rezydentów na łaskawym chlebie. Mickiewicz uwiecznił go w *Dziadach*, Słowacki w *Horsztyńskim*, a mniej sławni literaci w licznych wierszach i satyrach.

Jeśli karta wyłożona po prawej stronie była tożsama z kartą któregoś z graczy, bankier zabierał mu zadeklarowaną stawkę. Karty układane po lewej dawały zwycięstwo graczom, zwanym pointerami – bankier wypłacał im postawioną kwotę. Jeśli po obu stronach pojawiły się jednocześnie karty o takim samym nominale, pointerzy, którzy na nie postavili tracili połowę stawki. Właśnie doszło do takiego spotkania: Roman położył po prawej smutną damę pik przypominającą mu jego żonę Izabelę, która umarła w marcu, cztery miesiące po ślubie, nie dożywszy dwudziestu lat. Z lewej spojrziała pewna siebie, stanowcza i inteligentna, choć nie tak urodziwa jak tamta – dama trefl, czyli Elżbieta z Radziwiłłów, z którą od niedawna swatały go obydwie rodziny.

Teraz Potocki wyłożył po prawej dziesiątkę pik, a Jean-Francois Rocheteau, który taką samą dziesiątkę, tyle że z dwoma zagiętymi rogami miał przed sobą przykrytą piramidą monet, westchnął spazmatycznie. Zamożny szlach-

cic z Bretanii wykorzystał przepis pozwalający stawiać stawkę plus wygraną na kartę, która przyniosła mu powodzenie. Jeśli passa trwała, można to było uczynić czterokrotnie, każdorazowo zaznaczając zagięciem jednego rogu. Rocheteau rozpaczał raczej nie tyle nad stratą, bo Roman w myśl reguła zabrał mu tylko pierwotną stawkę, ale nad wypadnięciem ze szlaku wiodącego do sukcesu. Nie pojmował iluzji łudzącej go, że stawiając na tę samą kartę jest panem gry. A był jej sługą, nawet jeśli ten koncept dwukrotnie wcześniej przyniósł mu powodzenie.

Przed zmianą, w której siądzie pomiędzy pozostałymi pointerami, hrabia Potocki po raz ostatni potasował karty, podsunął je do przełożenia siedzącemu po prawej Yvonowi Battistonowi i przystąpił do wykładania.

– *Va banque!* – zawołał nagle baron Jean-Marc Domergue, który zagrzawszy sobie armaniakiem głowę, zniecierpliwiony wolną grą i niskimi stawkami postanowił wyzwać fortunę. Hasło oznaczało, że stawia tyle, ile w tej chwili jest w banku.

Przed Romanem piętrzyły się stosiki złotych stufrankówek z przystrojonym wawrzynem i wydłużonym bródką profilem Napoleona III. Ponad trzydzieści tysięcy w walucie, która osłabła jak cała Francja po przegranej wojnie z Prusami; nadwyrężyli ją fałszerze i spekulanci (ze szczególnym uhonorowaniem kilku europejskich rządów), ale w 1883 roku wciąż była podstawą łacińskiej unii monetarnej. Potocki w trakcie wieczoru zwiększył swój pierwotny wkład o połowę, teraz mógł się wycofać, ale wolałby nigdy więcej nie usiąść do stołu. Karty to hipnotyzujący spektakl figur, kolorów i nastrojów, zapijany musującym w żyłach ryzykiem, a taka rozgrywka pozwalała wychylić ów narkotyczny puchar duszkiem do dna.

Baron umieścił przed sobą asa kier, bilonu na nim nie leżało za wiele, ale gwarantował stawkę majątkiem. Polski hrabia wyłożył po prawej waleta, po lewej dziewiątkę, po prawej damę, po lewej kolejną dziewiątkę i już w trzeciej kolejce po prawej pojawił się as kierowy. Domergue nie zdążył przetrzeźwieć ani upić się emocjami, patrzył tylko na kartę oczami dużymi, jasnymi i okrągłymi, jak srebrne pięciofrankówki zwane Herkulesami.

Kiedy zliczali zawartość banku przy akompaniamencie smętnych weseł przegranego i gdy ten wypisywał później weksel, Roman myślał, że baron powinien się cieszyć, iż nie trafił do Polski, zwłaszcza w epoce Stanisławowskiej. Tamtejsze rozrywki, kuzyni Faraona – Diabeł i *A la mort*, czyli Arcydiabeł – by go zniszczyły. Zabójcza w nich była progresja stawki, podwajającej się w każdej rundzie. Zaczynać mogłeś od kwoty dowolnej, nawet minimalnej, ale w piętnastym rozdaniu była ona już pomnożona ponad sześćnaście tysięcy razy, a suma przegranych wynosiła niemal trzydzieści trzy tysiące wielokrotności stawki wyjściowej. Przy trzydziestu ciągnięciach nawet

Rockefeller nie wytrzymałby w grze. A la mort pieszczotliwie zwano lamorkiem, lecz arystokrata, którego nazwiska bezpieczniej nie wypowiadać, zagrał w niego z szulerami i umarł w nędzy, choć odziedziczył miasto i czternaście wsi.

Przed sekwencją rozdań z nowym bankierem zaordynowano półgodziną przerwę. Jedni spłacali dług naturze, inni posilali się, bo przy karcianym stole spożywano tylko alkohole. Hrabia Roman cenił ich pobudzające właściwości, ale podczas rozgrywek stronił od mocniejszych trunków, gdyż zanadto przytępiały postrzeganie i burzyły jasność ocen. Zauważył, że znacznie lepiej stymulują concept słodczyce, które skutkują tylko późniejszym głodem lub lekimi mdłościami w przypadku przedawkowania, a nie zaśmieniem umysłu i bólami głowy dnia następnego.

Po odejściu od bufetu stanął przy oknie, patrząc na kolumnę wyrastającą przed nim, pod postacią mrocznego cienia, na wysokość ponad czterdzieści metrów. Obalona przez Komunę Paryską i odbudowana dziesięć lat temu, już po jej zdławieniu, tak jak pierwowzór z początku wieku wzorowana była na rzymskiej kolumnie Trajana, a poświęcona Wielkiej Armii. Na szczycie dźwigała posąg jej wodza, Napoleona Bonaparte. Z perspektywy wzroku Potockiego przekrawała na pół kamienicę, w której spędził ostatni okres życia i zmarł Fryderyk Chopin.

Schrupał ze smakiem czwartą już bryłkę marcepanu uformowanego na kształt jajka i oblanego czekoladą. Przypomniała mu wyglądem dziwny klejnot, który przyniósł na dzisiejszą rozgrywkę w kieszeni surduta.

W marcu zegnał Izabelę w Łańcucie w towarzystwie niemal całej rodziny, czterech biskupów i dwustu kapłanów, jednak na tym nie zakończyły się jego wiosenne funeralne posługi. Gdy przyjechał do Wiednia, powiadomiono go o zbliżającej się likwidacji cmentarza w Währing, na którym spoczywała jego praprababka, księżna Izabela Lubomirska. To na odziedziczonym po niej majątku jej wnuk, a dziadek Romana założył łańcucką ordynację; największą i najzamożniejszą w Galicji.

Czekając na instrukcje od ojca uznał, że niezależnie, gdzie zostaną przeniesione szczątki księżnej – nie powinny być transportowane w obecnej postaci. Wszak od jej śmierci minęło już sześćdziesiąt siedem lat. Zarządził ekshumację i skremowanie zwłok, przy których asystował. Izabela została pochowana w paradnych szatach i biżuterii, a obok niej leżała zetłała teraz, chyba biała w przeszłości, jedwabna torebeczka z zamknięciem zaciągany przeplatany złotem sznureczkiem. Wyrzebał z niej kamień czarny jak węgiel, jednak odbijający światło na podobieństwo roziskrzonych gwiazd, jak żaden ze znanych mu klejnotów.

Pomyślał wtedy o Michale Walickim, synu zaściankowego szlachcica i wychowanku jezuickiej szkoły, który zaczynał jako karciarz i bilardzista w krakowskiej szulerni, a później jego wirtuozerię poznały Neapol, Londyn, Paryż i Rzym. Mistrz faraona, który grywał nawet z wysoko urodzonymi, włącznie z Ludwikiem XVI i Marią Antoniną.

Walicki miał ofiarować Karolinie Sołtykowej, żonie swojego patrona, mentora i dobroczyńcy, szafir zmieniający barwę o zachodzie słońca. Madame Stephanie Felicite de Genlis napisała o nim powieść *Le saphir merveilleux*. Michał zarobiwszy fortunę przy stole, kupił zrazu tytuł podstolego koronnego, potem hrabiowski, prowadził rozmaite interesy, skupując między innymi kosztowności i dzieła sztuki. Jak głosiła familijna wieść, załatwiał również niejedno dla księżnej Izabeli. Czyżby i ją obdarował nietuzinkowym klejnotem? Roman niewiele myśląc schował kamień na pamiątkę po jednym z największych graczy w dziejach i po praprababce, której olbrzymie dobra przejmie w przyszłości.

– Skoro nasz ustawodawca przed trzema laty uznał, że przypadająca dzisiaj rocznica zburzenia Bastylli powinna być świętem narodowym, uczcijmy i my bruk paryski użyźniany krwią, spadające nań głowy i ludzi w objęciach gilotyny – rzekł markiz Montmorency głosem ociekającym od cynizmu i kpiny.

Lokaj wniósł na tacy talie kart, które rozdał graczom, poczynając od nowego bankiera, Dominique Genghiniego.

Roman Potocki obejrzał swoją talię i zrozumiał sarkazm. Były to karty rewolucyjne. W szczyście jej szaleństwa został wydany edykt, że nie wolno przedstawiać wizerunków koronowanych postaci, między innymi na kartach do gry. Asy (czy też tuzy, jak zwykł myśleć Roman, wychowany przez graczy wywodzących swe korzenie ze staropolskiej tradycji i nomenklatury) pozostały po staremu. Za to królów zastąpili filozofowie i poeci: Rousseau, Wolter, La Fontaine i Molier, damami były symbole oznaczające rewolucyjne hasła: wolność, równość, braterstwo i własność, waletami zaś – przywódcy republikańscy we frygijskich czapkach: Robespierre, Saint-Just, Couthon i Fleuriot. Karty miały drukowane, niebiesko-biało-czerwone koszulki, a na awersach były malowane ręcznie. Być może przez Dauviela.

Potoczyła się gra. Hrabia Roman nieco wygrał, więcej stracił, a w czwartej rozgrywce, w której postawił trzy tysiące franków na asa karo, spostrzegł skonsternowany, że Genghini ułożył modelowego szulerskiego „lisa”. Po prawej siódemka, po lewej dwójka, a dalej prawa – lewa: król – siódemka, dama i dwójka, dziewiątka i król, dziesiątka i siódemka, as i król, piątka i dziewiątka, szóstka i as, ósemka i dziesiątka, czwórka i trójka, walet i piątka. Nie było to podejrzane, wszak wszelkie nominały wygrywające dla banku pojawiły się

również po lewej stronie, ale jedyną kartą przez którą Genghini nie zgarnął stawki była dwójka pik. Obstawiał ją Montmorency.

Dla sprawdzenia położył pięćset franków na walecie trefl, od lat nazywanym w Polsce dupkiem żółednym, co jak ułał pasowało do widniejącego na karcie mera Paryża, Jeana Baptiste Fleuriota, który interweniował, aby uwolnić uwięzionego Maximilliena Robespierre'a i jego towarzyszy. Schronili się wtedy do ratusza, lecz tylko o dzień opóźnił ich egzekucję.

– Pan hrabia stał się bardzo powściągliwy – zaczął go Montmorency.

– Niektórzy ludzie nie zasługują na atencję i inwestycje – odparował Potocki, wywołując uśmieszki zgromadzonych.

– Podobnie ich traktuję, choć w tej materii niżej cenię naczelnego mordercę – przytaknął mu gospodarz, kładąc identyczną sumę na podobiznie przywódcy jakobinów.

– Bardziej jednak odpowiadaliby mi tutaj Jacques Rene Hebert lub Georges Danton – dodał Polak. – Niestety, nie ma ich w talii, abym mógł uczcić ich wyższą kwotą.

Markiz lekko pobladł i aby to zamaskować mocno uperfumowaną chusteczką wykonywał jakieś manewry w okolicach nosa. Genghini z werwą zabrał się za tasowanie. Zrozumieli aluzję. Hebert i Danton zostali fałszywie oskarżeni i zgładzeni przez Robespierre'a.

Podczas wykładania po prawej pojawił się Luis de Saint-Just – „Archanioł Terroru” – tutaj zastępujący waleta karo, a dwie kolejki dalej walet trefl, Georges Couhon, usadzony na obrazku w fotelu na kółkach, w którym musiał się poruszać ze względu na sparaliżowane od wczesnej młodości nogi. Kiedy dołączył do nich Robespierre – przegrał Montmorency, a zaraz potem bankier wyłożył Fleuriota po lewej i Potocki zgarnął pięćset franków.

Cóż z tego, skoro w następnej kolejce stracił cztery razy więcej. Jeszcze gorzej wypadł na tym Philippe Ferreri, który najwyraźniej wierzył w gwiazdę przybysza z Polski, więc tak jak on typował dziesiątkę karo, kładąc na niej pozostałe swoje środki, bez mała piętnaście tysięcy.

Wstał, mamrocząc usprawiedliwienia. Gra na kredyt przekraczała jego możliwości.

Przykro mi, mój drogi, nie jestem gwarantem powodzenia, pomyślał Potocki. A teraz jeszcze zostawiasz mnie w tym zamtuzie, gdzie kurtyzany mają przyjemnościami, a szaty ściągają tylko z klienta – ograbiając go bezwzględnie. Miał już jasność. Do 1873 roku została zamknięta znakomita większość europejskich kasyn, prosperujących w metropoliach i u wód. Wyjątkiem było Monte Carlo. Za to egzystowały ciągle pospolite szulernie oraz ekskluzywne, kameralne domy gry. On trafił do połączenia jednego z drugim. Mont-

morency zwabiał graczy, budzącymi zaufanie, pozycją i tytułem, nie wywołującą podejrzeń konduity, a potem wspólnie z kamratami o szlacheckiej proweniencji golili naiwniaków.

Przypomniało mu się, gdy dwa lata temu w londyńskiej tawernie grał z marynarzami w Czarną Mańkę, jak ze względu na damę pik zwał tam kierki. Pokonał ich dopiero w ostatnim rozdaniu, choć przez niemal całą partię był ostatni w klasyfikacji. Wziął wszystkie lewy i przeciwnicy dostali po dwadzieścia sześć punktów karnych. Nazywali to „shoot of the moon” – zestrzeleniem księżycy – klepali go po plecach, chwalili jego strategię i żartowali, że taki cierpliwy i opanowany człowiek przydałby się na kliprach, gdy stawia się żagle pod wiatr wiejący wzdłuż czterdziestego równoleżnika na szlaku herbacianym.

Stawki liczyły się w pensach, piło się rum i piwo porter biorące nazwę od rzecznych tragarzy, rubaszne śmiechy i niewybredne żarty wirowały nad stołami. A biuściasta blond kelnerka, która przez cały wieczór puszczała do niego oczko, w pokoiku na pięterku okazała mu jeszcze więcej sympatii niż tamci. Roman nigdy nie gardził gminem ani nie stronił od niego, jak wielu wyżej urodzonych. A na pewno w każdej sytuacji przedłożyłby tamtych prostych i szczerych ludzi nad te francuskie oślizgłe żmije, aspirujące do elity.

Faraon był popularny ze względu na szybką akcję, łatwe do nauczenia zasady i większe prawdopodobieństwo wygranej, niż w większości gier losowych, ale przy szachrajstwie szanse stawały się żadne, a straty niebotyczne. Hrabia Roman, szacując z grubsza, wraz z kwitem od Domergue’a miał jeszcze ponad pięćdziesiąt tysięcy franków, więcej niż wynosił bank Genghiniego. Do rana z pewnością zabiorą mu wszystko. Mógłby w tej chwili zrezygnować, unosząc sporą zdobycz, lecz to dyshonor. Jego renoma nieustraszonego gracza doznałaby uszczerbku, a nade wszystko poniósłby ujmę we własnych oczach. Lepiej stoczyć ostatnią wielką bitwę i przegrać, zabierając odrobinę – jakąś ćwierć pierwotnego wkładu – ale wstać z twarzą. A może na tyle ich zaskoczy, że nie uda im się zorganizować na to jedno rozdanie? Pokonać takich oszustów to splendor nieporównanie większy, niż puścić bez miedziaka dworskich ciepłajów albo hazardzystów z bożej łaski.

Powiedział miękko „va banque” i położył przed sobą króla kierowego, którego w talii zastępował Wolter. Filozof, który w swoich *Aforyzmach* zawarł zdanie: *Człowiek wolny idzie do nieba taką drogą, która mu się podoba*, a na myśli prawdopodobnie miał piekło, pasował tutaj doskonale.

– Czyżby znudziło ci się nasze towarzystwo, panie hrabio? – zagadnął Monmorency. Był spokojny, wiedział, że jego jedyne zmartwienie to odwrócić uwagę Potockiego od tasującego karty. Grzeczność nakazywała patrzeć na pytającego podczas odpowiedzi.

– Znudziło mnie własne towarzystwo – odparł leniwie Roman. – Pora zamknąć noc jednym akordem i odłączyć świadomość, udając się w objęcia Morfeusza.

– Czyżbyś zrobił się senny panie hrabio?! Wydawało się, że emocja naszych rozgrywek skutecznie odgania wszelkie znużenie.

– Niekiedy to nie kwestia międzyludzkich napięć, ale aury, spożytych potraw. – Hrabia chcąc nie chcąc podtrzymywał rozmowę.

Przyjęty regulamin dawał przewagę szulerom. W dwóch różnych wersjach faraona gracze odkrywali obstawiane karty przed lub po tasowaniu. Oni na wstępie umówili się na to pierwsze rozwiązanie, więc bankier miał możliwość wykreowania kolejności figur.

Potocki już wcześniej, udając, że machinalnie, bezwiednie obraca ją w rękach, zbadał talię którą otrzymał od lokaja. Nie zauważył niczego szczególnego. Sposobów markowania kart było bez liku. Nakłuwanie igłą. Nakłuwanie nawet już w czasie gry – pierścieniem, za pomocą kamienia lub ukrytego miniaturowego ostrza, czy wręcz paznokciem. Malowanie kropeczek i kreseczek farbą z zaopatrzonego w mikroskopijny kałamarz pierścienia. Szulerzy hodowali twarde długie paznokcie, za to kwasami zmiękczyli skórę palców, aby dokładniej czuć wszelkie wypukłości. Smarowano też blotki kalafonią, a figury mydłem, przez co pierwsze były śliskie, a drugie lepkie. Podobne zadania spełniała guma arabska, która później od wilgoci stawała się maziewata. Rozklejano też i na powrót sklejano rogi kart, tworząc zgrubienia udające wadę fabryczną, ewentualnie przycinano rogi na nieco bardziej skośne, zwężano lub skracano karty przez przycinanie. Tutaj nie musieli nawet preparować kart, były stare, więc bardzo możliwe, że nie zostały wykonane identycznie. Wystarczyło zaobserwować anomalie rysunków i kolorów, różne odcienie, odległości rysunków od brzegu.

– Mocna kawa potrafi podnieść najcięższe powieki – nie ustępował Montmorency. – Choć na wschodzie, jak mniemam, nie stała się jeszcze tak popularna jak tutaj. Wszelkie mody wędrują od nas do was, a nie odwrotnie.

– Bądź spokojny, drogi markizie, pijamy ją zarówno na rozbudzenie, jak dla smaku. A cyrkulacja mód bywa bardzo zaskakująca – odpowiedział uszczypliwie Potocki. – Wszak pierwszą kawiarnię w Wiedniu założył dwieście lat temu Jerzy Franciszek Kulczycki, wkrótce po zwycięstwie króla Sobieskiego nad Turkami. Do dzisiaj w oknach wiedeńskich kafehausów wywiesza się portret mojego rodaka, nazywanego tam z niemiecka Kolschitzky.

Genghini podsunął mu talię do przełożenia. Musiał to zrobić, bo Potocki pozostał w grze jako jedyny. Na to również liczył deklarując, że będzie grał o bank. Pieczołowicie zdjął plik kart i położył obok. Bankier prędko za-

brał je i tenże plik włożył pod spód, ale hrabia zdążył zauważyć coś na kształt cienia na koszulce karty, która teraz była wierzchnią, i pojął w jaką pułapkę go zwabiono. Genghini podczas tasowania wymasował kciukiem wybraną kartę, dzięki czemu stała się bardziej śliska, a karta leżąca na niej łatwiej odpadała. W efekcie Roman zdjął ją jako spodnią w przekładanym pliku. Teraz wymasowana karta była na górze talii, a karta, która uprzednio spoczywała na niej – znalazła się na samym dole. I był to zapewne francuski piewca liberalizmu. Rozdawanie zaczynało się od góry talii, kończyło na dole, a jedna z reguł mówiła, że ostatnia karta wygrywa dla bankiera, nawet jeśli została położona po lewej stronie. Potocki obejrzy więc pięćdziesiąt dwie karty, aby dowiedzieć się od Woltera, że stracił lwia część pieniędzy.

– Nudny ten stół, kiedy opuściła go większość pointierów. Proszę choć kwiaty na nim postawić – powiedział tknięty niezrozumiałym impulsem. Chciał chyba po prostu opóźnić egzekucję.

Lokaj podszedł do stojącego przy ścianie sekretarzyka i zdjął z niego wazon z zaprojektowanego przez Emila Galle przepięknego szkła z wyciętymi w wierzchniej warstwie motywami kwiatowymi. W wazonie pyszniły się rozkwitłe lilie – godło królewskiej dynastii Kapetyngów, ułożone w herbach Francji, licznych prowincji i miast, a także rodów szlacheckich. W tym rodu Montmorency. Lokaj przesunął się obok bankiera, a białe kwiaty, z kielichami zwężającymi się do fioletu i żółtymi pręcikami w środku niemal otarły się o twarz siedzącego.

„Lilia oznacza królewskość, majestat i chwałę. W chrześcijaństwie uchodzi za symbol niewinności, czystości, dziewiczości i zmartwychwstania. A w starożytnym Rzymie – nadziei...” – Roman przypomniał sobie dziecięce spotkanie z ordynackim ogrodnikiem, którego zagadywał o swoje ulubione orchidee, a ten dość szybko sprowadzał rozmowę na kwiaty, które sam preferował. Przeniósł wzrok ze stojącego na środku stołu wazonu na Genghiniego, który zachowywał się dziwnie. Wyłożył już po prawej trójkę karo, a teraz podskakiwał na krześle, jakby chciał wstać, ale spodnie przykleiły mu się do atłasowej wyściółki, aż wreszcie rozgłośnie kichnął, skłaniając głowę i podrywając ramiona. Zapewne, niczym tabaką, zaciągnął się pyłkiem obficie produkowanym przez lilie, z uwagi na tę cechę nazywanymi w Polsce „smolinoskami”.

Kiedy bankier otworzył zażawione oczy, ujrzał podobiznę Woltera leżącego po lewej stronie. Karta wyslizgnęła się, kiedy zbyt późno poderwał dłoń dla zakrycia nosa i ust.

– Ale... Ale to chyba zdarzenie przypadkowe... Czyż może być rozstrzygnięciem?... – wyjąkał Montmorency.

– Przypadek jest zdarzeniem nieobliczalnym, jak stwierdził Arystoteles – rzekł Potocki ironicznie. – A tutaj po prostu ten nieco gwałtowny acz zgodny z naturą gest przyspieszył bieg wypadków.

– Taka wygrana może cieszyć? – spytał pokornie gospodarz.

– Każda wygrana cieszy tak samo, jeśli jest uczciwa. – Hrabia gładził wąsy kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki, unosząc brodę i patrząc na markiza z góry. Miał wrażenie, jakby trzymał tego żalosnego oszusta za gardło. Ani on, ani tym bardziej Genghini nie mogli argumentować, że karta wypadła ze spodu talii, bo zrodziłoby się pytanie, dlaczego akurat tam się znalazła, a przede wszystkim – dlaczego są o tym przekonani.

„Szuler ten, kto pierwszy nazwie się szczęśliwcem” – przypomniała mu się puenta rzucona niegdyś przy stole przez litewskiego szlachcica Jacka Kaczmareckiego. Wesoły kawalarz i sybaryta z równą lekkością przepijał do niego, wymieniał w pikiecie karty z ręki na talon, co wymyślał zabawne facecje. Ale też myśli głębsze – to on stwierdził kiedyś, że we wszystkie gry intelektualne należy grać dobrze albo wcale, a także zdiagnozował karciane mody i uzależnienia („Nic nie znaczy ten, co nie gra, ci co grają – tracą”).

– Rad jestem, panowie, że zmierzylimy się w tym szacownym domu, w gronie szlachetnie urodzonych, a nie w podrzędnej spelunie wśród Greków – dodał Potocki wytrawiając głos z wszelkiej ironii, ale rozmyślnie używając określenia „un grec”, które w języku francuskim oznaczało nieuczciwego gracza. – Tam pewnie sztylety już byłyby w robocie i może przyszłoby szukać medyka z wrażym ostrzem w boku, a my możemy w pokoju udać się na zasłużony odpoczynek. Mój życzliwy przyjacielu! – teatralnie pstryknął na lokaja, który wcześniej prznosił kwiaty. – Przełoż, proszę, na moje stanowisko zawartość banku.

Tamci obserwowali jego błazenadę w milczącej rozpacz. Zbyt wiele – reputację i estymę, jaką cieszyło się to miejsce, a więc i przyszłe ewentualne wygrane – mieli do stracenia, żeby protestować.



Kinnoult, 2024

Annelis Pöhlcke, 16 Oct

II MIEJSCE NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

DOMINIK KASICKI

STARUSZKA

Pachniała myszami i starym człowiekiem. Zakutana po szyję w cienką, wręcz płaską, bo pewnie wypełnioną watoliną, zimową kurtkę. Na głowie dziergana, wełniana czapa, której koniec opadał daleko na plecy kolorowym pompomem. Wyjątkowa kreacja jak na pierwsze dni maja, gdy dwadzieścia pięć stopni w cieniu. W pralni trzeba dodać co najmniej z pięć więcej – furkoczące maszyny piorące, magiel oraz żelazka skutecznie podnoszą temperaturę i wilgotność w pomieszczeniu. A jednak staruszcze, która z trudem pociągnęła poręcz drzwi, musiało być chłodno, bo wzdrygnęła się i naciągnęła czapkę na uszy i czoło.

– Kiedy mogę oddać pranie? – Zapytała drżącym głosem.

– O każdej porze. Jesteśmy czynni w godzinach dziewiąta – dziewiętnasta.

– Odpowiedziała Teresa.

– Ja chciałam się zapisać.

– Ale nie ma takiej potrzeby, wystarczy przyjść i przynieść ubrania.

– Pytam kiedy mam przyjść i o której? – Klientka wyraźnie zeżliła się na tę mało konkretną odpowiedź.

– No to może jutro o trzynastej.

– Dobrze, jutro o trzynastej. A jaki to będzie dzień?

– Mhm... – Teresa niby przypadkiem potarła wewnętrzną stronę dłoni meszek pod nosem, zakrywając w ten sposób usta. Powietrze miało smak zdechłych gryzoni i od dawna niemytego ciała. – Czwartek. Jutro będzie czwartek, proszę pani.

– A dzisiaj co mamy?

– Środę.

– Dobrze, a zapisze mi pani na papierze, kiedy mam przyjść.

Teresa wzięła karteczkę i napisała datę, godzinę oraz dla pewności adres. Podala ją klientce.

– A do szkoły chodziła?

– Słucham? – Pracownica pralni ze zdziwienia nabrała gwałtownie powietrza i szybko tego pożałowała. Zapach mysich kupek poczuła każdą komórką ciała, aż zatkała nos.

– Bo napisała jak kura pazurem. – Fuknęła klientka. Wzięła długopis. Przepisała wszystko po swojemu. Teresa kątem oka zauważyła, że pismo kobiety przypominało zapiski lekarza na recepcie. Jeszcze bardziej trudne do rozpoznania niż jej własne. Tymczasem klientka włożyła kartkę do kieszeni. Drzwi popchnęła z siłą atlety, tak, że aż uderzyły w odbijacz umieszczony po zewnętrznej stronie przy szybie.

Teresa poszła na zaplecze włączyć czajnik i nasypać kawy do filiżanki, aby zmienić kompozycję zapachową na bardziej przyjemną dla jej umysłu. Minęły dwie, może trzy minuty zanim wróciła na główną salę. Starowinka stała przy ladzie wpatrzona w wirujące w pralce pościelenie.

– Słucham, w czym jeszcze mogę pomóc.

– Proszę mi przypomnieć, kiedy mam przyjść?

– Jutro o trzynastej. Czwartek. Dziesiąty maja. Ma pani zapisane na karteczce włożonej do kieszeni.

– Bardzo dziękuję, jest pani bardzo miła. – Odwróciła się i zaczęła szarpać się z drzwiami.

– Trzeba popchnąć.

– Trzeba popchnąć. – Powtórzyła staruszka. – Pani jest tu pewnie kierowniczką. Jest pani bardzo miła.

* * *

Zapach pieczonego kurczaka spowodował, że pogrążony w zamyśleniu kierownik pralni zmierzający do pracy, zatrzymał się raptownie, jakby go ktoś patelnią zdzielił i prowadzony węchem stanął przed witryną z migającym neonem „Kurczę pieczone”. Na różnie kręciły się drobiowe ciała z chrupiącą skórą i tłuszczkiem ociekającym na podstawkę. W domu nie zanosilo się, że otrzyma tego dnia obiad, bo M. uprzedziła go, że idzie na party mix, czyli gotowanie intencyjne z urządzeniem do gotowania. Intencją gospodyni było prawdopodobnie wciśnięcie na raty maszyny uczestniczkom tego spotkania. A panie, będące gośćciniami na imprezie, miały zapewne intencję nażarcia się za darmo.

Słyszał skwierczenie, a przynajmniej tak mu się wydawało, gdy patrzył przez uwaloną od tłuszczu szybę. Równie dobrze mogło to być burczenie w brzuchu, ale nie zastanawiał się nad tym, ponieważ uwagę przykuła sytuacja w środku. Jakaś starsza kobieta pakowała właśnie zakupy i czekała na resztę od sprzedawczyni. Ta rzuciła na tackę monety, z których kilka po-

toczyło się na podłogę. Kierownik pokonał żwawo kilka schodków i już schylał się, aby pozbierać rozbiegane monety. Gdy podniósł się, aby oddać pieniądze uderzył go nie tyle aromat przyprawy do kurczaka, ale coś w rodzaju fetoru rozkładających się biośmieci, leżących za długo w kubie w upalne dni, których obecnie nie brakowało. Nie brakowało również muszek owocówek wibrujących we włosach kobiety. Kokon na głowie żył własnym życiem. Kobieta wyciągnęła dłoń obwieszoną skórą szorstką i żółtą, jakby obtoczoną w złotej panierce do pieczenia. Gdy chciał przesypać pieniądze do jej ręki, odsunęła się i odchyliła kieszeń kurtki.

– Tutaj, młody człowieku. Mam zgrabiałe palce.

Zrobił, jak kazała, a ona korzystając z okazji, że jest tak blisko, podrapała go po policzku nieprzycinanym od dawna paznokciem. Teraz zdał sobie sprawę, że kobieta jest wysokości przeciętnego jedenastolatka, a jej ręce i dłonie są całkiem sprawne, jak na to, co przed chwilą mówiła.

– Matka pana dobrze wychowała. – Dodała i powolutku wyszła.

Chwilę później kierownik pakował do plastikowej siatki dwa udka oraz frytki. Miało wystarczyć do końca dnia, ale gdy wyszedł i minął już róg sklepu, pomyślał, że mógł kupić jeszcze surówkę. Zawrócił. Stał przed witryną, zastanawiając się, czy ma déjà vu. Przed ladą stała staruszka. Ta sama, co przed chwilą. Wskazywała palcem na siatkę, po czym sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dwieście złotych. Położyła je na ladzie, a ekspedientka chwyciła i schowała do kieszeni. Z kasy wyciągnęła kilka drobniaków i rzuciła na tackę, skąd pieniądze rozpięchły się po podłodze. Starowinka padła na kolana i szorując kolanami po podłodze, starała się zebrać monety. Kierownik zastanawiał się tylko chwilę. Wskoczył po schodkach, siatkę odłożył pod ścianą i pomógł kobiecie. Wyzbierane drobniaki wysypał z brzękiem na ladę.

– Poproszę, że tak się wyrażę, resztę. – Zrobił krok w tył, żeby pomóc staruszce wstać.

– O co panu chodzi? – Kasjerka z natapirowanym blond włosom zatrzepotała rzesami. Jej policzki nabrały koloru, jakby przyłożyła jej do rusztu.

– Mam wezwać policję?! Czy po dobroci?

– Czego pan chce ode mnie?!

Jego nieprzenikniony wzrok nie pozostawił jej złudzeń. Szczególnie, gdy sięgnął do kieszeni po telefon.

– No dobra, wyluzuj chłopie. To tylko stara...

– Ostrzegam!

Kobieta wyciągnęła z kieszeni dwieście złotych i położyła na blacie.

– Wszyscy będziemy kiedyś starzy! – Kierownik fuknął na dziewczynę za kontuarem, po czym sięgnął po banknot i oddał staruszce, a ta szybko włożyła go do kieszeni kurtki.

– Dziękuję panu bardzo. Ja już zapomniałam czy zapłaciłam, czy nie. – Wzruszyła ramionami. Znowu chciała go podrapać paznokciem, ale on odsunął się, gdy dotarł do niego zapach moczu zmieszanego z samotnością.

Mężczyzna poczekał aż klientka wyjdzie, po czym chwycił z podłogi swój pakunek i odwracając się w drzwiach, krzyknął:

– Pani też będzie stara!

Kierownik zeskoczył ze schodków i ruszył do miejsca pracy. Gdy przypomniał sobie, że nadal nie ma surówki, stwierdził, że tym razem się obejdzie. Nie miał zamiaru korzystać ze sklepu, w którym ktoś wykorzystuje sytuację innych osób. Sięgnął po telefon i napisał do Teresy, że będzie parę minut później. Nagle stanął jak wryty, gdy wyrosła przed nim postać.

– Matka dobrze pana wychowała. Proszę. – Starsza kobieta podała mu woreczek z kiszoną kapustą. – Na zdrowie! – Zaśmiała się i odeszła, a wraz z nią dziwny zapach, który zdawał się tkwić już w każdym atomie powietrza.

* * *

Wiatr zawiął mocniej. Starowinka uczepiona poręczy, ledwo utrzymała drzwi, choć i tak zrobiła parę kroków w tył, aby nie oberwać skrzydłem. Ubrana w lekką bluzeczkę, zupełnie niepasującą do chłodnego, deszczowego dnia i czapę nasuniętą głęboko na głowę.

– Jest mama? – Rozejrzała się po pralni w poszukiwaniu właściwej osoby. Rozpięła guzik pod kołnierzem, jakby było jej gorąco. Mężczyzna zaś wpatrywał się w nią, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. – No ta miła pani, co tu pracuje. – Wytłumaczyła.

– To nie jest moja mama. – Odpowiedział pralnik, przypuszczając, że kobieta ma na myśli Teresę.

– A taki pan do niej podobny. Te same oczka. – Zgrabiałym palcem drapnęła powietrze. Gdy nie dzieląca ich lada dziabnęłaby go... w brzuch, bo mniej więcej do tej wysokości mu sięgała. No może nieco wyżej. – Kierowniczką kała mi przyjść dzisiaj o trzynastej. To jestem.

Mężczyzna zdębiał słysząc nazwę stanowiska Teresy.

– Coś pani, odbiera, chyba tak?

– A nie wiem. Kazała przyjść, to przyszłam. O, to mi dała. – Położyła na ladzie paragon z doczepionym numerkiem zamówienia oraz karteczką z terminem odbioru. – To ręczniki i dresiki do spania.

– Po odbiór. Poczekaj pani chwilę. Muszę poszukać.

Rzucił okiem pod ladę i poszedł do biura. Nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Ha! Kierownicza. – Złapał w rękę ciasteczko z czekoladą oraz wziął łyka kawy. I się zakrztusił. Najwyraźniej jakiś okruszek wpadł do tchawicy. Uderzył się dłonią w pierś. Raz, drugi. Przeszło. Dla pewności wziął kubek z czarnym napojem i popił, ale gdy poczuł fusy między zębami, pochylił się nad zlewem i wypuł wszystko co miał w ustach. Włożył głowę pod kran i przepłukał jamę ustną zimną kranówką. Przecierając wargi i pochrzäkując z lekka, wciąż czując zgrzyt między zębami, wrócił na salę. Dwie siatki z ręcznikami i podomkami leżały pod ladą, więc szybko je zlokalizował. Teresa uprzedziła go o klientce przynoszącej ręczniki i piżamy z powodu zepsutej pralki. Zapisała jej, że ma przyjść w sobotę i tak właśnie przyszła. Niemniej kierownik postanowił trochę się podroczyć z kobietą, za to, że został nazwany synem kierowniczką.

Klientka chwyciła pakunki. Kopiąc w drzwi, a potem napierając na nie barkiem, otworzyła je. Poleciały ze świstem i uderzyły w odbijacz. Bluzka kobiety wzduła się pod wpływem wiatru, ukazując koronkowy biustonosz, a ona sama stała przez chwilę, jakby przyszpilona, po czym poszła w kierunku cukierni. Jakiś przechodzący chłopak zamknął drzwi. Wykorzystując chwilę, że nikogo nie było, zaparzył sobie nową kawę. Z trochę już zwietrzałej i zbitiej twardej bryły, ale wciąż nadającej się do spożycia rozpuszczki, odłupał łyżką porcję na jedną filiżankę. Teresa nie uznawała rozpuszczalnej, więc tej zawsze było więcej. Mówiła, że to wyrób kawopodobny, podobny do wody po płukaniu ekspresu w Żabce. Sama zaparzała rano „turka” w zasypanym w jednej trzeciej zmielonymi ziarnami kubku i przez cały dzień robiła dolewajki wrzątku.

– Pani kierownik! Pani kierowniczo? – Gotujący się czajnik zniekształcał głos dochodzący z wnętrza pralni. Mężczyzna wyszedł na salę. – Jest pana mama?

– To nie jest moja mama! – Fuknął.

– A taki pan podobny. Ale zapyta pan kierowniczkę, czy ja zapłaciłam.

– Miała pani paragon, to zapłacone.

– Ale ja mam pieniądze, żeby pan nie myślał. – Wygrzebała z kieszeni dwieście złotych i położyła na ladę. Wtedy rozpoznał w niej kobietę z „Kurczęcia pieczonego”

– Proszę to schować. Już pani zapłaciła.

Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund, aż ona powiedziała.

– Ale pan jest miły. To się udał pracownik kierownicze. Uczciwy taki.

– Dobrze, że nie mamie. – Syknął przez zęby.

– Mam coś dla pana. – Wyciągnęła z papierowej torby z logo cukierni nadgryzioną jagodziankę. – Dobra jest, pełna owoców, a nie taka z marketu. No weźmie pan, bo się obrażę. – A widząc jego skwaszoną minę, dodała. – A może jednak nie dam. Kwaśne są. Jeszcze bardziej panu mordę wykrzywi.

* * *

– Była? – Teresa od razu po przyjeździe na swoją zmianę zerknęła na półkę pod ladą.

– Była. Kazała pozdrowić kierowniczkę. – Przełożony właśnie kończył stylizować sukienkę z falbanami. Za nic nie mógł ich uprasować na desce, więc manewrował żelazkiem w powietrzu.

– Kierowniczkę? Ach, pamiętam. Nazwała mnie tak. Czuj się zagrożony! – Zaśmiała się.

– A proszę bardzo. Weź to przejmij ode mnie w cholerę. – Kierownik odłożył żelazko na podstawkę, przez przypadek naciskając dźwigienkę od włącznika pary. Buch oparu wodnego wleciał w powietrze i zaparował okulary szefa.

– Daj spokój! Na stare lata będę się w biznesy bawić. A jak mnie jakaś choroba trafi, jak tę staruszkę?

– Każdego coś trafi. Mnie pewnie najpierw szlag, a potem reszta. – Przecierał szkiełka w koszulkę.

Kobieta roześmiała się. Wiedziała o kilku kłopotach kierownika. A to z niekompletnym zamówieniem, klientem twierdzącym, że brakuje mu jednego kuchennego ręczniczka albo z zamknięciem do suszarki, którego nie mógł kupić od dwóch miesięcy, przez co musieli podstawiać wózek pod drzwiczki, żeby się nie otwierały, ale żeby takie żarty się go trzymały, to była dla niej nowość.

– Widziałam ją rano, jak jechałam rowerem na rynek. Musi gdzieś niedaleko mnie mieszkać. Usłyszałam kawałek rozmowy z czarnoskórym chłopakiem, którego zaczepiła. Zapytała go o godzinę. Gość nic nie rozumiał i odpowiedział po angielsku. Na migi mu pokazała, o co chodzi i on jej pokazał telefon. Wtedy uściskała go i podreptała w stronę przychodni.

– Ciekawe, czy miała na kartce zapisany adres i godzinę wizyty. Jak myślisz?

– Możliwe. Nie wiem, jak ona funkcjonuje. Szkoda mi jej tak po ludzku. Boję się, że ktoś kiedyś wykorzysta jej naiwność. Była raz z córką, ciebie nie było wtedy. Ja się jej zapytałam, czy wszystko w porządku z mamą, a ta tylko pokiwała głową i powiedziała, że jest trudno.

* * *

Teresa została szefową pralni, a kierownik jej synem. Przynajmniej w oczach staruszki. Nie mieli już siły jej tłumaczyć, a gdy wpadała z samymi tylko pozdrowieniami albo bułeczkami z cukierni, to się uśmiechali. Taki był jej urok,

pomimo, że czasami śmierdziało od niej na kilometr. Bułeczek nie jedli, dziwnie przechodziły jej zapachem – zostawiali je wróblom na parkingu.

Gdy przynosiła pranie, dawali jej karteczkę z dokładnie (i wyraźnie!) zapisanymi informacjami: Data przyniesienia, odbioru, waga, ilość, kwota i że jest zapłacone, bo wciąż zdarzało się jej, że chciała zapłacić po raz drugi. Czasami przychodziła pochwalić się jakimś starociem znalezionym na śmietniku. A to lampa, a to wieszak na ubrania, obraz, świecznik, nawet miska i połamany kij od szczotki wzięła – mówiła, że to do podwiązania kwiatka w donicze się przyda. Nie wnিকali w szczegóły.

Trochę zaczęli się martwić, gdy zaczęła przynosić do prania różne rzeczy: kurtkę, płaszcz, nawet maskotkę, która wysokością, prawie jej dorównywała. Każda z tych rzeczy miała jakiś poważny mankament. Kurtka nie miała zamka (dosłownie, jakby ktoś go wyrwał), płaszcz porwaną w strzępy podszewkę, noszącą ślady kocich pazurów, a miś nie miał głowy. Jej zdaniem wszystko miało się przydać. Wystarczyło tylko uprać. Z czasem nawet nie prala tych rzeczy, tylko przychodziła i pytała o mamę, jakby chodziło o jej własną. Gdy Teresa wychodziła z zaplecza, chwaliła się jej zdobyczą i uciekała.

Pewnego dnia przy opuszczaniu pralni zahaczyła o próg i przewróciła się z wrzaskiem na kolana. Usiadła na chodniku i zapłakała. Kierownik pomógł jej wstać i zaproponował, że odprowadzi do domu. Oponowała. Wycierając łzy, krzyczała, że poczeka na „mamę”. Nie docierało do niej, że Teresa ma tego dnia wolne. Zgodziła się, dopiero, gdy powiedział jej, że mu zapłaciła za zaprowadzenie do domu. Dla potwierdzenia pokazał jej kartkę, na której wykalkulował chwilę wcześniej prośbę o odprowadzenie wraz z datą i godziną oraz pokwitowaniem zapłaty z jego strony. Uwierzyła. Na drugiej kartce napisał, że „Chwilowo nieczynne”, przykleił taśmą do szyby i zamknął drzwi. Poszli razem pod rękę.

Prowadziła go opłotkami, po drodze zahaczając o niejednego śmietnik. Tłumaczyła, że wcześniej widziała tam przydatne rzeczy, a skoro idzie z nim, to na coś się przyda i pomoże jej zabrać szpargały do domu. W rękach trzymał więc krzesło z ułamanym oparciem, na nim karton z książkami, a na głowie abażur – podobno miał pasować do wcześniej przytarganej lampy. Trochę się dziwił, bo jeszcze kilkanaście minut wcześniej narzekała na obolałe kolana, a teraz śmigała jak nastolatka.

Nagle zza rogu jednego z bloków wyjechał rower.

– Mama! – Wrzasnęła staruszka.

– Mama?! Wszędzie cię szukam!

* * *

Córka staruszki rzuciła pojazd w krzaki i podbiegła do matki.

– Miałas być pod telefonem! Od zmysłów odchodzę.

– Jasne! A jak się nie odzywasz przez miesiąc to też od zmysłów odchodzisz?! Czy świetnie się bawisz?– Nagła zmiana z błędzącego we mgle dziecka w karcącą dorosłą zaskoczyła kierownika. Zupełnie nie rozumiał, o co tu chodzi. Odłożył krzesło na bok, z kartonu wyciągnął jedną z podartych książek i udawał, że czyta. Jednym uchem jednak przysłuchiwał się rozmowie, a właściwie kłótni dwóch kobiet. Ucieszył się, że ma nakrycie głowy, skutecznie maskujące go przed przechodniami, którzy w jego mniemaniu na pewno zwrócili uwagę na tę nietypową sytuację. Jedna mówiła, że pracuje na uniwersytecie w Kalifornii i nie może sobie pozwolić zbyt często na przyloty. Rodzicielka zaś skarżyła się, że od pięciu lat nie widziała wnuka, nie wspominając nawet o rozmowie telefonicznej, bo „bździągwa, karierowiczka, wyrodna córka” nie nauczyła syna polskiego.

– Idziemy do domu.

– A w życiu.

– Z tobą, jak z dzieckiem!

– Nie mam posprzątane. Może innym razem.

– Posprzątane?! Nasrane tam masz! Niech pan zobaczy, to może w końcu zrobi ci się głupio i zaczniesz się leczyć.

– Larwa! – Krzyknęła staruszka. – Do grobu mnie wpędzisz, ty, ty...

– Niech mamusia dokończy. Proszę bardzo.

Głosy ucichły. Nagle osłona na lampę podniosła się i stanął, a w zasadzie siedział oko w oko z rozsierdzoną kobietą w średnim wieku.

– Bierz pan te graty i idziemy! – Zawyrokowała staruszka.

Malutki budynek wciśnięty między nowoczesne bloki wyglądał jak kur-nik. Pokryty eternitem, szyby zasłonięte kartonami, niedokończone ocieplenie budynku rzucało się w oczy z chodnika. Przywitało ich z dziesięć kotów i cztery psy skaczące do furtki. Przyniesione rzeczy zostawił przed bramką, aby nie padły ofiarą czworonogów. Gdy udało im się przejść do wejścia ścieżką uwaloną zwierzęcymi odchodami, weszli po schodach, od których niejeden mróz odkuł przyklejone doń kafelki. Córka staruszki puściła męczyznę przodem. Po otwarciu drzwi, uderzył go fetor rozkładającego się jedzenia oraz zwierzęce kłaki wdzierające się do gardła. Musiał mocno popchnąć skrzydło, aby przecisnąć się do środka. Porysował starą wykładzinę, a na głowę poleciał mu pusty karton. Już miał go odrzucić gdzieś na bok, gdy usłyszał cienki głosik.

– Odłóż go ładnie, złotko, przyda się.

Po przejściu przez werandę, okazało się, że „przydasi” jest o wiele więcej. Kartony pełne gazet, książek. Stosy ubrań, które przykryły krzesła, fotele i łóżka.

– Usiądźcie, jak już jesteście. – Wskazała na posłanie ograniczające się do wydzielonego kawałka tapczanu, na którym leżała czysta pościel i złożona w kostkę podomka, niedawno odebrane z pralni, na co wskazywało opakowanie z logo. Od niego prowadziła wąska ścieżka do kuchni. Cała reszta przypominała miejsce splądrowane przez złodziei, w pośpiechu wyrzucających wszystko na podłogę.

– Zrobię wam herbaty. – Chwyciła ze stołu trzy kubki. Z jednego wyszczył robal i zniknął w kupie ubrań. Chociaż od samego wejścia powstrzymywał się od nabierania głębokich oddechów, kolejne odkrycia powodowały, że zbierało się mu na wymioty.

– Od dawna?

– Od kiedy pamiętam, ale od roku coraz gorzej.

– No, a...

– Proszę się nie krępować.

– Leczenie, te sprawy? Może da się coś zrobić?

– Ucieka z ośrodków, ze szpitali wypisuje się na własne życzenie, gdy poczuje się lepiej.

– Nie boi się pani?

– Czego? Jej śmierci? Czekam z nadzieją, kiedy to nastąpi.

Kierownik wzdrygnął się, a zimny pot skroplił się na plecach.

– Mamusiu, zobacz. Głowa odpadła temu misiu. – Staruszka stanęła w przejściu między pokojami, ściskając maskotę, tylko trochę mniejszą od niej samej. Kobięcina rozplakała się, a wraz z nią jej córka. Kierownik zostawił ich razem. Usiadł na krześle przed bramką, do ręki wziął rozpoczętą wcześniej lekturę, a na głowę nałożył klosz.

III MIEJSCE

MARCIN BIELECKI

INNI MAJĄ GORZEJ

Popołudnie powoli wkradało się do ciasnego mieszkania, zagraconego kobiecymi bibelotami i pamiątkami z misji. W tle rozbrzmiewało wycie kosiarki, rytmiczne odbijanie piłki i szczekanie psa. Anna odprowadzała w kuchni swoje domowe rytuały. Łukasz otworzył lodówkę. Piwa nie było. Spojrzał na żonę, ale nic nie powiedział.

– Zapłaciłeś za kurs Kacpra? Dziś mija termin. Pamiętasz? – spytała męża.

– OK, OK. Zapłacę.

– Ale zrób to teraz, bo znów zapomnisz – nie ustępowała.

– Już robię ten przelew. – Ruszył się, by poszukać telefonu. – Nie ma kiedy się podrapać po...

– To rób! – Anna cisnęła go jak kapral na unitarce.

– Zaraz. Tylko gdzie on jest? Amba, Fatima, było i ni ma. – W końcu znalazł. – Tu się okopał! Kacper mógłby załatwić to sam. Po co ma konto i kartę?

– Kacper przecież sam tego nie dopilnuje.

– Co mówiłaś? Kto piknikuje?

– Nic. Słuchaj uchem, a nie brzuchem.

– Zrobione, poszło.

Dźwięk potwierdzenia przelewu zamykał temat.

– Coś nie w sosie dzisiaj jesteś, co? – próbował okazać empatię.

Może coś dostanie za tamto piwo, którego nie było.

– Weź ty, daj mi spokój! – broniła się przed kontaktem.

Zatem wycofał się na z góry upatrzoną pozycję i włączył telewizor. Anna wolała jednak ciągnąć rozmowę.

– Lepiej pogadaj z nim, bo jedynek z matematyki złapał – zaraportowała.

Niechętnie ruszył do pokoju syna, gdzie rozbrzmiewały strzały i wybuchy. Jak zwykle grał. Neonowe potwory, krew, broń – taki cyfrowy, sterylny świat. Kacper nie oderwał nawet wzroku od ekranu. Powietrze w pokoju stało, spoglądał na zamknięte okno, drobiny pyłu unosiły się w zachodzącym słońcu niczym kurz na patrolu. Dobrze, że przynajmniej nie czuć spalin z diesla.

– Weź otwórz okno, nie ma tu czym oddychać – zakomenderował, a Kacper podskoczył na krześle, ale to była cała jego reakcja. Próby nawiązania z nim kontaktu były jak wejście w strefę zakłóceń radioelektrycznych. – Mama mówiła, że poległeś z matmy.

– Aha. – Kacper nie oderwał wzroku od monitora, bo nie chciał stracić questa.

– Aha? Co znaczy „aha”?

Zwykle dowiadywanie się czegoś od syna było jak wyciskanie wody z kamienia.

– To znaczy „aha”. Nie zrozumiałem tego tematu.

– Znowu grałeś do późna. Jak się nie wyśpisz, to nie zapamiętasz – poradził, mimo braku reakcji syna.

– To nie wasza sprawa!

Na ekranie ukazywały się opuszczone blokowiska, zardzewiałe rury, spalone samochody oraz murale wymalowane cyrylicą. I to miała być przyszłość? Łukaszowi to przypominało raczej poligon, bo na misji w Afganistanie podobne było tylko wrażenie rozpadu i tymczasowości. Tam była pustynia, kamienie, cherlawe drzewa i potężne góry na horyzoncie albo bazy pełne życia, bosych dzieciaków i zapachów, które nazwać byłoby trudno lub po prostu lepiej jednak tego nie robić. Rozgrywka Kacpra przeciwko najemnikom toczyła się w chaosie, bez reguł, które obowiązują w siłach zbrojnych. Wirtualne ruiny niewiele się jednak różniły od takich prawdziwych, tyle że w tych komputerowych nie było ajdików. Kacper mógł jednak sobie tam ginąć wiele razy, a on nie miał tego luksusu, jeśli chciał jeszcze kiedyś zobaczyć syna. Pamiętał, że kiedy jechali na misję, to w telewizji gadali, że to dla pokoju, budowy demokracji, zobowiązania sojusznicze, a polska gospodarka urośnie dzięki kontraktom. A potem, gdy zaczęli pojawiać się ranni i trumny, nastąpiła cisza. Społeczeństwo się tym nie interesowało, to politycy też. A może najpierw byli politycy, bo przecież żołnierza najłatwiej zabić gazetą. Nikt nie chciał słuchać, że chłopaki wracają z rozwalonymi głowami i kręgosłupami. A teraz, gdy Ruscy się zbroją i czają, to nagle bez naszego doświadczenia by nawet granicy nie umieli obstawić. Może wreszcie ktoś zrozumie, że ta misja to była lekcja, a nie wyjazd na sakso po dolary.

Otrząsnął się z tych rozmyślań i przyszedł do syna, bo chciał być z nim tu i teraz.

– Hej, co się dzieje Kacper? – spróbował zagadać, ale nawet na te słowa chłopak nie zareagował. – Nie chcesz powiedzieć? Wiesz, ja też czasem jestem smutny i jakiś taki... Zresztą, jak nie chcesz powiedzieć, bo się wstydzisz, to też dobrze – starał się złapać nić porozumienia z synem, ale ten niestrudzenie ciągnął rozgrywkę, a jego brak pokory stawał się coraz bardziej iry-

tujący. – A może się nie wstydzisz, tylko po prostu nic nie robiłeś? – wypalił wprost. – Myślisz, że jak robisz mniej, to będzie mniej wstydu, gdy nie wyjdzie? Naprawdę nic nie robiłeś? A w ogóle to ty wiesz, czego chcesz? Przynajmniej w najbliższej perspektywie? Miej ty odwagę to powiedzieć!

– Daj mi się zastanowić – Kacper w końcu coś odpowiedział, lecz zupełnie nie słuchał, bo cały czas szukał przeciwników w ruinach szkoły.

Ciekawe, czy drony na niego polowały.

– Wszystkiego z matką musimy się domyślać? Ja w twoim wieku, to... – nadal próbował się przebić.

W końcu Kacper oderwał wzrok od monitora.

– Zresztą szkoda gadać. Nudzi cię, co mówię? Nie patrz na mnie tak, jakbym ci ojca zadzgał widelcem.

Anna miała swój punkt obserwacyjny przy desce do prasowania. Za stosami prania, niczym za barykadą, monitorowała tę ich nie-rozmowę. Aby ustabilizować nerwy męża, przejęła inicjatywę, taktycznie starając się przekierować pretensje w inne sektory.

– Bój się Boga, Łukasz, odpuść mu! Widzisz, że zmęczony, bo przecież uczył się do późna. Ciebie zupełnie poniosło. Jak się znów nie wyspałeś, to nie wyżywaj się na innych. Lepiej idź sobie zmierzyć ciśnienie, co? Nie jesteś sobą, to odpocznij albo zjedz coś, a nie rozmawiasz z Kacprem jak z szeregowym w koszarach. Myślisz, że jak na niego hukniesz, to pomoże? Tyle pomoże, że zrobisz witraże w oknach. Dojrzewa. Naprawdę inni mają jeszcze gorzej.

– Ale są tacy, którym jest lepiej – skontrował żonę.

Miała dość męża i jego zmiennych nastrojów. Spojrzała na syna, zastanawiając się, co on z tego wszystkiego wzięł do siebie.

– Kacper, ty też nie wyglądasz dobrze. Weź te kolorowanki odstresowujące. Gdybyś tylko się tak nie ościagał i robił w tempie, to byś tak ojca nie denerwował.

Kiedy znowu zostali sami, Anna wróciła do tematu, który nie dawał jej spokoju.

– Ja to myślałam o jakimś karnecie dla niego na fitness, bo ciało ma jak miś Haribo.

– Już to widzę. Jak ostatnio proponowałem, żebyśmy razem pobiegali, bo wtedy aż 200 mięśni pracuje, to wiesz, co powiedział?

– Co?

– Że go potem 200 mięśni będzie napierdalać. – Westchnął.

– Tobie tak powiedział?

– No nie, tak sobie pod nosem. Myślał, że nie słyszę.

Kacper okopał się w swoim świecie z pikseli. Jego umysł, z uporem dążący do zrozumienia schematów, znajdował ukojenie podczas rozgrywki. Rzeczywistość poza ekranem była chaotyczna, pełna niejasnych komunikatów i niezrozumiałych oczekiwań. Czuł się jak system AI, który napotkał błąd logiczny w zbyt licznych instrukcjach od użytkownika i nie mógł ich przetworzyć w zadowalającą odpowiedź. Miasto na ekranie z labiryntem ruin, gdzie cień mógł być wrogiem, było mimo wszystko prostsze do ogarnięcia. Wokół rozedrgane echem strzałów i krzyków powietrze. Nagle traci równowagę, spada w mrok. Rozgrywka się chyba zawiesiła, bo pozostało tylko modulowane buczenie. Albo był restart, bo potem pojawiały się inne zwykłe dźwięki. Ktoś chodzi po pokoju, daleka syrena, no i ten zapach, jakiego nigdy w grach nie ma. Taki syntetyczny, laboratoryjny. Ktoś mu coś robi przy ręce.

– Co to? Gdzie jestem? Jest tu kto? What the fuck? Co mi robisz? Zostaw – zareagował.

– Słyszysz mnie? Straciłeś przytomność. Rozumiesz, co mówię? Jeśli tak, rusz ręką. Spokojnie, dłonią wystarczy.

Łagodny kobiecy głos i ostrożny dotyk nie mogły pochodzić z gry.

– Ja tylko... Czemu jest ciemno? – W końcu pojął, że to szpitalny zapach.
– Czemu nie widzę?

– Nie musisz mrugać. Czyli słyszysz, mówisz i ruszasz też ręką. Nie masz żadnych obrażeń. Nawet siniaka. Jak się czujesz?

– Znaczy się... Tak jakoś...

– Odpocznij teraz, bo będziesz miał więcej badań.

Na korytarzu Łukasz wpatrywał się w telefon, a właściwie w swoje drżące ręce. SMS wysłany 12 minut temu wystarczy, więc czekał. W końcu Anna zadzwoniła.

– Co z Kacprem? Jak on się czuje? Wracam do was. Ale dotrę dopiero koło północy – wyrzucała z siebie słowa krótkimi seriami.

– Chyba jest w porządku.

– Na jak długo stracił przytomność? Zrobili rezonans? A tomografię? – Zawsze miała gotową listę kontrolną na wszystkie trudne sytuacje.

– Stracił przytomność na kilkanaście minut, a z jakiegoś powodu na trzy godziny też wzrok.

– Matko Boska! A ma jakieś urazy? Co to było?

– Chirurg już go obejrzał i nic nie znalazł. Mówią, że niewyraźnie widzi i ma... Jak to nazwali... A, już wiem, powidoki i zaburzenia konwersyjne.

– Więc co mu jest? – Jej głos drżał. – Tak się boję o Kacperka. Podają mu jakieś leki? Modlę się dla niego o łaskę, aby Duch Święty go ochronił, bo tyle mogą zrobić.

– Biochemię i elektrolity ma w normie. Rezonans pokazał, że to nie żaden guz, wylew ani tętniak. To też nie były żadne dopalacze czy inne świństwo. Powiedzieli, że ogólnie Kacper jest w niezłej formie – raportował jak na apelu.

– Ale jaka jest diagnoza? – nie dawała za wygraną – I co? Tak go wypuszczą, bo teraz w porządku i nic nie znaleźli?

– Nie denerwuj się, Anka. Jakbyś tu była, to byś mogła sama zadawać te pytania. Ma zresztą dobrą opiekę, bo jest tu jeden lekarz na oddziale, który u nas w jednostce miał przydział na łapiducha, więc dopilnuje, żeby nie było „po taniości”.

– Zobaczymy, jak dotrę do szpitala. A ten neurolog to ma jakąś hipotezę, co się stało?

– Nie bardzo, ale powiedział mi, że to może wyglądać na epizod PTSD.

– P-T-S-D? – Anna jęknęła jak lód pękający zimą na jeziorze.

– Zespół stresu pourazowego.

– Wiem, co to PTSD! Mój mąż jest w wojsku! Pytam się, jakiego stresu pourazowego? To przecież nastolatek. Gdzie tu stres? Szkoła? Matura dopiero za rok. A urazów mówisz, że nie miał! – Złość Anny była reakcją na diagnozę wstrząsającą jej światem, w którym problemy rozwiązywało się troską i modlitwą. Od dawna podejrzewała, że z synem dzieje się coś niedobrego i nie jest to tylko zwykłe dojrzewanie. Coś, co wykracza poza „leniuchowanie” czy „bunt”.

– Wołają mnie. Będziemy na łączach – szybko zakończył rozmowę. Przeczucie, że Kacper mógł doświadczyć czegoś, co przypominało jego własne koszmary, napawało go gorzkim żalem. Czy teraz cienie jego przeszłości, jego ukryte strachy przeniknęły do świata syna?

* * *

Kacper jakoś doszedł do siebie i wrócili do domu. Gdyby nie ten incydent ze wzrokiem, to na komisji dostałby A, a tak pewnie wpiszą mu D, czyli „sprawny w ograniczonym zakresie”. Ich życie toczyło się dalej, niby normalnie.

– Zastanawiam się, jaki on jest – Anna przerwała ciszę, która dla Łukasza była jak zbyt długi patrol, kiedy trzeba być czujnym, mimo że baza jest niedaleko. – Może te jego problemy ze zdrowiem są psychosomatyczne, bo zgrzeszył, a do spowiedzi nie chodzi?

– A niby jak zgrzeszył? No jak? – próbował jakoś racjonalizować fobie żony. Przypomniął sobie, że w Afganistanie nie było czasu na rozkminki o grzechu. Tam się liczyło, czy wykonasz zadanie i wrócisz w jednym kawałku.

– Skąd mam wiedzieć? Może ma poczucie winy i dlatego tak się porobiło. Ale coś mu przecież może leżeć na sumieniu, on jest taki wrażliwy. Co on tyle godzin robi na komputerze? – Jej lęk przeplatał się z pretensją.

Odległy dźwięk kosiarki a może drona zupełnie rozproszył Łukasza, bo nie mógł zidentyfikować, co i skąd dochodzi. Dopóki tego nie rozpoznał, nie był w stanie skupić się na niczym innym. Potrzebował na to trzech, może czterech sekund, ale i tak nie dosłyszał słów Anny.

– W jakim kamperze? – próbował wrócić do rozmowy z żoną.

– Komputerze, smartfonie! Kiedy ty byłeś ostatnio u laryngologa?

– Podczas badań okresowych. Po prostu życia jeszcze nie ogarnia.

– On tak chce spełnić nasze oczekiwania? – Anna nie szukała wyjaśnienia w nieznanym jej świecie syna, ale w tym, który ją otaczał.

– Jakie? Twoje, moje, nasze? A może to my coś przeoczyliśmy?

– A pamiętasz, jak z Kacprem jeździliśmy do rodziny? Ile to było z tym zachodu, przekonywania, tłumaczenia, po co jedziemy, bo nawet nie chciał z domu wyjść.

Łukasz potwierdzająco skinął głową.

– Raz to powiedział nawet, że woli jechać na pogrzeb. Jak go spytałaś dlaczego, to stwierdził, że wtedy jest ciszej i nie trzeba rozmawiać.

– I jeszcze wtedy, kiedy go z kolonii musieliśmy zabrać. Na do widzenia nam powiedzieli, żeby z Kacperkiem do psychiatry iść. Tak mi wtedy było przykro, jakby mi w twarz splunęli. Ty to pewnie nie pamiętasz, jak on chodził do zerówki i jak mu potem było trudno na początku w podstawówce. Ciebie nie było, zostawiłeś mnie z tym wszystkim, a ja ci też nie chciałam mówić...

– Anna nagle urwała.

Wtedy wierzył, że to ma sens, bo mieli okazję się nauczyć, jak wygląda prawdziwa robota: rozpoznanie, zasadzki i taktyka. Dziś jak budują nowe brygady na wschodzie, to właśnie oni, ci, co tam byli, uczą młodych, jak nie dać się zaskoczyć.

– Wiem, że to nie było łatwe – przypomniał sobie długie rozmowy przez Skype. – Kacper nie sprawia większych kłopotów, ale taki nieobecny był już od dawna. Trzeba iść do psychologa, psychiatry. – bo Łukasz już wiedział, co chce zrobić. – Tylko trzeba takich, co się znają na swojej robocie. A nie tych patalachów ze szkoły, co tylko w papierach chcą mieć porządek. Jak nie ma przemocy, to mają dzieciaka gdzieś!

– Już o tym trochę myślałam, ale obawiam się, żeby... A poza tym, to czy nas na to stać? Wiesz, ile kosztuje prywatna wizyta? A na tego z NFZ dla młodzieży będziemy czekać pół roku albo i dłużej. Zanim się doczekamy, to Kacper będzie już pełnoletni.

– A na co mamy czekać? Na karetkę? Bo przez SOR to szybciej?

– Weź przestań! Zresztą pytałam już księdza Marka, do kogo iść, co by nam Kacpra nie skrzywdzili.

– No i co tym razem ksiądz Marek radzi? – spytał, choć wolał nie wiedzieć.

– Powiedział, żebyśmy uważali na takich, co to rozszerzają świadomość i wykorzystują dialog egzystencjalny, bo to niemoralne. Bo jak człowiek zaczyna świadomie przeżywać samego siebie, to potem szatan lubi się podczepiać pod różne zaburzenia. Ważne, żeby terapeuta dopuszczał możliwość nadprzyrodzonej ingerencji świata duchowego w życie człowieka. – Widząc, że Łukasz nie nadąża za jej wywodem, dodała: – Więc sam widzisz... A do tego Kacper to taka młoda osoba, że wiele rzeczy się po prostu w niej kształtuje. Jemu trzeba przekazać świadectwo prawdy. Pragnę tylko... – przerwała, bo poczuła, że Łukasz traci zainteresowanie. – Nie chce ci się ze mną rozmawiać? Uciekasz od tego, co ważne!

Wiara Anny była jak kamizelka kuloodporna, w której modlitwy niczym płyty balistyczne chroniły ją przed pociskami trudów życia.

Łukasz zaczął rozmyślać o tym, jak prosto było w Afganistanie. Nie było takich pieprzonych dylematów, bo była robota do zrobienia i tyle.

– Psycholog i psychiatra takimi bzdurami się nie zajmowali na misjach. Paru kolegom pomogli. A paru odesłali do kraju, jak trzeba było. – Widział, jak to działało w bazie. – Mało gadali, dużo słuchali. – Przypomniawszy sobie swoją ostatnią rozmowę.

– Ale oni pracowali z dorosłymi! Mówię coś nie tak? Uważasz, że powinniśmy iść z nim do psychoterapeuty albo psychiatry, ale przecież głębokie słuchanie siebie nawzajem nie zawsze pomaga w odkryciu tego, co prawdziwe, słuszne i czego chce Duch Święty.

– OK, OK. Ja z nim pójdę.

Łukasz wolał działać. Wiedział, że ta akcja, nawet jeśli obarczona ryzykiem, była jedyną, która mogła przynieść jakąś zmianę.

* * *

Wychowawczyni zadzwoniła, że Kacper ciągle nie wybrał przedmiotów na maturę.

– Robiłeś coś fajnego dzisiaj, Kacper? – zagadał, starając się zrozumieć sytuację syna.

– Daj mi się zastanowić... Chyba nic specjalnego – Kacper nie wrywał się do dialogu.

– Masz plan na maturę? Z czego potrzebujesz punktów na studia? – Anna przeszła do sedna.

Kacper coś odpowiedział, ale niewyraźnie i za szybko. Tłumaczył się, ale tak chaotycznie, że potrafili zrozumieć tylko „nie wiem”, „zaraz”, „no może”, „potem”, „jeszcze nie”.

– Weź mów wyraźniej i wolniej – przerwał mu Łukasz, bo słuchanie tego było ponad jego siły. – Dokończysz, kiedy znajdziesz czas. Tylko nie zapomnij oddać zgłoszenia w szkole – próbował zmotywować syna, bo kwity to ważna rzecz.

Kacper chyba tego nie rozumiał, że to przecież „egzamin dojrzałości”.

– Wiesz, czasem człowiek się stara, a wychodzi jak zwykle. Jak nie wyszło, to przynajmniej wiesz już, jak to działa.

Kacper już nic się nie odezwał i odmaszerował, a Łukasz nie wiedział nic więcej niż przed ich rozmową. Kiedy go o coś spytać, to odpowiadał, jakby raport składał. Mówienie do syna było jak wrzucanie kamieni do studni, z tą różnicą, że kamienie wydają w końcu odgłos.

Za to Anna miała w głowie plan bitwy. Prosty i skuteczny atak z flanki, tak aby Kacper nie zorientował się, o co chodzi.

– Ksiądz Marek mówił, że będą organizować warsztaty dla nastolatków, aby mogli doświadczyć siły empatii i popraczkować autentyczny dialog. Jak sądzisz, to chyba jest dobry pomysł, żeby poszedł i pogadał z innymi wrażliwymi rówieśnikami? Może warto, żeby poszedł i zobaczył, że inni są też tacy wrażliwi? Może trzeba dać mu czas? Przecież ma dobrą duszę.

– OK, OK. Zobaczysz się.

– Nie mów tak do mnie. To twoje „OK, OK” znaczy tyle, co „mam to w dupie”! – Anna nie wierzyła, że Łukasz popiera jej pomysł, więc mu się odgryzła.

Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Poszedł do sypialni, rozebrał się i o wrócił do ściany. Był zmęczony i chciał już spać. Wiedział jednak, że sen nie przyjdzie łatwo. Im bardziej zbliżał się do jego granicy, tym częściej przebliski wspomnień go rozbudzały. Wtedy hałas, którego nie dało się uciszyć, a do którego przywykł na misjach, był jego ucieczką. Wolał dźwięki, bo gdy się na nich skupiał, obrazy się rozmywały. W przeciwnym razie w ciszy powracały z podwójną siłą. Twarze wykrzywione z bólu, kurz, dym, rozbłyski, spaliny, ale przede wszystkim bezsilność wobec cierpienia.

* * *

Na wizytę u psychiatry czekali długo. Niestety w ostatnim momencie okazało się, że Łukasz nie może towarzyszyć synowi, więc to Anna poszła z Kacprem. Psychiatra nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Nie wyglądał na lekarza, nie miał fartucha ani garnituru. I ktoś taki miał pomóc jej synowi?

– A do tego Kacper strasznie dużo czasu spędza przed komputerem i z komórką. To tak się zastanawiamy z mężem, czy nie jest uzależniony od – jak to się mówi – ekranów.

– Podejrzewa pani smartfice? – Spojrzał na Kacpra. – A kto nie jest dziś uzależniony od ekranów? Wsiadłam do autobusu i niewiele to się różni od mojej poczekalni. – Wskazał na drzwi. – Jak reagujesz, gdy ktoś ma wobec ciebie jakieś oczekiwania? – zwrócił się do Kacpra.

– No tak jakoś... – Kacper wzruszył ramionami.

– Czyli jak? Spróbuj to opisać.

– Lęk. Panika tak jakby. Jakbym był za szybko, ale nie umiał jej zbić.

– A jak się czujesz, gdy inni mają odmienne zdanie?

– Staram się zrozumieć dlaczego. Akceptuję to. Nie rozumiem tylko, dlaczego się myślą.

– A gdybyś chciał to zmienić? Nie ważne jak. Jak byś się wtedy czuł?

– Nie wiem. Nie myślałem, że jakoś to się może zmienić. Zawsze tak było. Odkąd pamiętam.

– A co jeszcze pamiętasz od zawsze?

– Jak czekam na coś przyjemnego, to nic nie czuję, ani radości, ani ekscytacji. Może lęk raczej. Jakbym był głuchy na emocje, a gdy się czasem pojawiają, to są jakby nie moje. Nieprawdziwe?

– A czy twój stan jakoś się zmienił w ciągu ostatnich miesięcy? Gdybyś miał porównać, jak obecnie funkcjonujesz i jak było rok czy dwa lata temu, to gdzie widzisz zmiany?

Kacper wahał się z odpowiedzią, więc Anna chciała już odpowiedzieć za niego, ale psychiatra ją powstrzymał.

– Zastanów się nad tym na spokojnie. Jeszcze do tego wrócimy. Myślisz czasem o śmierci?

– Czasami. Przed snem, jak nie mogę zasnąć. Gdy godziny mijają w zawieszaniu.

– Czyli problemy ze snem. A co ci się śni? Coś się powtarza?

– Wolno spadam głową w dół.

– Czy to są takie bardziej myśli, że „może, może” czy raczej „jak”? A może próby były?

– Jak pan może! Co chce mu pan wmówić? – Anna eksplodowała.

– Droga pani, w przeciwieństwie do psychoterapeutów uważam, że pewne rzeczy powinny zostać w głowie i nie ma ich wydłubywać. Ale jeśli już wyszły, to same się nie rozplyną we mgłę wspomnień i snów. – Jego głos był spokojny, ale też pełen determinacji.

– U nas w domu o śmierci się nie mówi...

– Bo...?

Anna milczała, myśląc o tym, co ją ciągle nękało, kiedy Łukasz był na misji.

– Czy się pani spodziewała, wybierając się tu z synem?

– Chyba jakiejs rady. Diagnozy?

– Pani zapewne się spodziewa, że orzeknę depresję albo stany lękowe i zapiszę jakieś tabletki. No i to może być prawda, ale... Z zaburzeniami tej natury jest jak z cebulą – te najbardziej oczywiste objawy mogą maskować zupełnie inne przyczyny.

– To był pomysł Łukasza. To znaczy męża, abyśmy tu przyszli. On się uparł, że tu przyjdzie z Kacprem. Ale w ostatnim momencie okazało się, że nie może. Dlatego ja tu jestem. – Anna była zła, że Łukasz ją z tym zostawił.

Psychiatra zaczął grzebać w papierach.

– A tata Kacpra? No tak, dawno się nie widzieliśmy. Zmieniłem specjalizację. To znaczy... z młodzieżą więcej teraz pracuję. Wszystko u niego dobrze? Nie było okazji ostatnio się spotkać.

Anna zrozumiała, że pilne wezwanie dla Łukasza było nieprzypadkowe. Najwyraźniej chciał, żeby to właśnie ona tutaj przyszła.

– Zwykle tak.

– To niech się do mnie odezwie. Powspominamy. Na dziś kończy nam się czas. Proszę wypełnić to na spokojnie i odesłać do poradni.

Po wizycie u psychiatry Anna wracała do domu z natłokiem myśli. Świat, który знаła, pękał, odsłaniając nieznane warstwy problemów Kacpra. Złość na Łukasza, że nie była dość ważna, by wtajemniczył ją w swój plan, mieszała się z pytaniami o syna, bo coś się zmieniło.

* * *

Anna wpatrywała się w tabletki, jej twarz była spięta. Łukasz domyślał się, że coś się stało. Po wizycie niewiele chciała rozmawiać, choć Kacper mówił, że było spoko.

– Widziałeś? Jest diagnoza w systemie. Myślałam, że nam na wizycie powie. Podała mu tabletki. Odczytywał zimne medyczne słowa. Diagnoza wg klasyfikacji ICD: *Uporczywe zaburzenia nastroju o odchyleniu od normy w zakresie interakcji społecznych, regulacji emocji i wzorców komunikacji wraz z drażliwością w realizacji zadań wymagających zaangażowania poznawczego i społecznego. Ww. są przyczyną przewlekłego obniżenia nastroju, epizodu konwersyjnego, trudności z planowaniem i podejmowaniem decyzji, co wtórnie obejmuje zachowania społeczne i anankastyczne, jak również niską ocenę własnej wartości, skutkując obniżeniem nastroju, jak wykazano w wywiadzie.*

– Anankastyczne, konwersyjne? Kto tak mówi? – wypalił Łukasz.

– Czyli co? Jest chory? – Anna czuła się zdezorientowana. W jej głowie odezwały się głosy całej dalekiej rodziny – te, które były, i te, które na pewno się pojawiają: *Skąd on to ma? On to ma chyba po dziadku Stefanie, bo też taki był. A może to geny od strony Łukasza? Tak to jest, jak ojca w domu ciągle nie ma – bo na misji, na poligonie, pod granicą. A może on homo-nie-wiadomo? Jak to już nie choroba, to teraz lekarze inaczej to nazywają. Jakbyście mieli więcej dzieci, to Kacper by się bardziej uspołecznił, jeszcze młoda jesteś, postaraj się!*

– Są jakieś zalecenia? – Łukasz próbował zrozumieć, jakie zadanie jest do wykonania.

– Właśnie nie... albo nie umiem ich znaleźć. To co z nim jest nie tak? Wiesz, Łukasz, tak się zastanawiam, za co nas takie nieszczęście spotkało.

– A spotkało?

– Zastanawiam się, czy Bóg chce nam coś powiedzieć? Może to jakiś znak?

– To ja ci przypomnę, że to ty się zastanawiałaś, czy chcesz utrzymać ciążę.

– Łukasz zadał celny cios. – Więc teraz nie mów, że skoro byłaś w ciąży i urodziłaś, to Pan Bóg teraz ciebie ukarał. A za co, ja się pytam?

– Jeszcze przed ślubem to się bałam, że mnie zostawisz. Już wtedy szykowałeś się na misję.

– W takim razie zrozum, że życie nauczyło mnie jednej rzeczy. – Łukasz spojrzał jej prosto w oczy. – Swoich się nie zostawia! Trzeba z nim pogadać, bo siedzi u siebie sam jak kołek.

Otworzyli drzwi do Kacpra, ale pusty pokój rozświeślał tylko wygaszacz ekranu „GAME OVER”.

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA ŁĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI ŁĘBORSKIEJ

AGATA SOBISZ

AUTOPORTRET Z PIEKŁA

– Czy to ty, synku? – wyęczałam, lecz gdy otworzyłam oczy dostrzegłam tylko ten przeklęty portret i pokojówkę odsłaniającą okna. Walka z grubymi, atłasowymi zasłonami zajmowała jej coraz więcej czasu.

Moja synowa. Pierwsze promienie słońca padały na jej bursztynowe tęczówki. Malarz, by wiernie odtworzyć ich barwę, zmieszał paloną sienę, kadmową pomarańcz i złocistą ochrę. A i tak w moim mniemaniu nie zbliżył się ani trochę do porażającego efektu, jakie dawało jej spojrzenie.

– Zerknąłem nieśmiało – Max chwycił z gracją jej dłoń – i z miejsca uto-
nałem.

Ona nieco szyderczo uśmiechnęła się na dźwięk tych słów. Odsunęłam od warg filiżankę, na chwilę tylko rozstając się z gorzkim aromatem popołudniowej kawy. Nie mogłam przecież zostawić własnego dziecka na pożarcie.

– Doprawdy iście wyjątkowy kolor – postawiłam porcelanę na hebanowy stolik – taki wilczy, nieprzystający młodej damie.

– Obiecuję, że nie będę gryźć – roześmiała się głośno, a wolną ręką przecesała krótkie kasztanowe włosy – na czas spotkań w towarzystwie odwie-
szam zwierzęcą część mojej osobowości na kołek.

– Natury nie oszukasz – wytrzymałam kpiarskie spojrzenie – suka zawsze pozostanie suką.

Przez chwilę zapadła niezręczna cisza. Max popatrzył na mnie z wyrzu-
tem, ona jednak ścisnęła jego dłoń i ukazała kły w nieszczerym uśmiechu.

– Baronowo, kiedyś będzie musiała mnie pani nauczyć trudnej sztuki ri-
postowania, widzę bowiem, że trafiłam na mistrzynię.

Podniosłam się z łóżka, odganiając to wspomnienie niczym natrętną mu-
chę. Narzuciłam na siebie satynowy szlafrok i ruszyłam korytarzem. Idą-
cy przede mną lokaj gasił świeczniki i otwierał kolejne drzwi. W jadalni przy
długim białym stole czekał na nas kamerdyner z gotowym śniadaniem. Zasia-
dłam i rozpoczęłam dzień od mocnej, czarnej herbaty.

– A gdzie jest Max? – spojrzałam na służącego – Czy uraczy mnie swoim
towarzystwem przy śniadaniu?

– Obawiam się – mężczyzna zmarszczył czoło – że nie, pani baronowo. Panicz od wczesnych godzin jest na konnej przejażdżce.

– Pewnie z nią – skrzywiłam mimowolnie twarz – gania za nią jak pies!

Odpowiedziało mi milczenie. Kamerdyner spoglądał na ciągnące się aż po horyzont wrzosowiska. Kwitnące o tej porze roku fioletem dominowały cały krajobraz. Lekko słodkawy zapach wlatywał niepostrzeżenie przez wysokie okna rezydencji.

Moja synowa kochała jazdę konną, automobile i inne męskie rozrywki. Suknie nosiła tylko przy okazji balów dobroczynnych, a i te, które wybierała niewiele miały wspólnego z elegancją i dobrym smakiem. Czego jednak mogłam się spodziewać po kobiecie, która do ślubu wybrała kreację odsłaniającą kostki? A zamiast welonu, w swe krótkie włosy wplotła diadem? O mojej synowej rozprawiano w całym towarzystwie.

– Ladacznica! Ot co! – ośmieliła się kiedyś powiedzieć mi jedna z hrabianek. – Któż to widział, by dama paliła cygara! I to jeszcze w otoczeniu dżentelmenów!

Nie pierwszy i nie ostatni raz myślałam, że zapadnę się pod ziemię. Natomiast moja synowa nic sobie z tego nie robiła. Uważała pozostałe damy za nieciekawe, infantylne i głupiutkie kaczątko, których jedynym, życiowym celem było upolowanie odpowiedniego kawalera. Max nie tylko podzielał jej zdanie, a wręcz szczycił się, że udało mu się uniknąć pułapki konwencjonalnego małżeństwa.

Kamerdyner odsunął drewniane krzesło z aksamitnym obiciem, a ja nie bacząc na konwenanse, przeszłam do jednego z pokoi. Nie mogłam zrozumieć, jak kobieta, dama mogła notorycznie zostawiać po sobie taki nieporządek!

Ja również w panieńskich czasach kształciłam się w sztuce malowania! Gdy jednak poślubiłam Barona, porzuciłam tę pasję na rzecz małżeńskich obowiązków. Jej to jednak nie przeszło przez myśl. Na sztalugach wisiało niedokończone dzieło, a olejne farby schły w pootwieranych tubkach.

– Nic nie rozumiesz – Max objął mnie ramieniem – to współczesna sztuka! Awangarda!

– To beztalencie! – Wykrzyknęłam wzburzona na widok zielono – niebieskiej twarzy patrzącej na mnie z portretu. – Co to niby ma przedstawiać?

– Mamo – humor wyjątkowo dopisywał mojemu synowi – nie ma przedstawiać, ma symbolizować. A ty jako odbiorca powinnaś przede wszystkim poddać się emocjom, które w tobie wzbudza.

Jedyne, co czułam to wszechogarniające mnie obrzydzenie. Zarówno do miernego dzieła, jak i jego twórcy. Moja synowa podobno zdobyła uznanie na zagranicznych wystawach. Nie mieściło mi się to w głowie. Szczególnie,

że sama byłam świadkiem, jak przebierała się w męskie ubrania robocze, nalewała sobie pełną szklankę ciemnej whisky i tworzyła tę swoją sztukę! Często po tych sesjach, zalana siadała przy stole i płakała, chowając twarz w zgięciu łokcia. Max brał ją wtedy na ręce i zanosił do wspólnej sypialni, uspokajając przy tym czuлыми słowami. Ona niczym dziecko kulila się i wczepiała w jego ramiona. Rano, przy śniadaniu zgodnie udawali, że nic się nie wydarzyło.

– Pani Baronowo – usłyszałam cichy głos pokojówki – przygotowałam już poranną toaletę i garderobę.

Gdy kwadrans później czesała moje włosy, powróciły do mnie kolejne wspomnienia. Ich nieznosne awantury. Trwające całymi godzinami przedstawienia pełne krzyków i wzajemnych oskarżeń, policzkowania i krępowanych nadgarstków. Godzili się równie namiętnie, lekko podchodząc do tych wybuchów. Z reguły prowokowanych przez nią. Pozłacana szczotka gładko przechodziła przez kolejne pasma. Pociągnięcie za pociągnięciem, od kiedy pamiętam.

Był tylko jeden, jedyny dzień, kiedy się nie uczesałam. Całonocna potyczka między moją synową a Maxem. Listopadowy, mglisty poranek, widziałam ich dokładnie na placu naszej posiadłości. On we wczorajszych, wieczorowych ubraniach zmiętolonych i rozchełstanych, ona w płaszczu luźno narzuconym na jedwabną koszulę nocną. Biegł za nią, błagając, by wróciła. Pierwszy raz poczułam taką odrazę do własnego dziecka. Płaszczyl się przed tą lafiryndą. A ona pijana i wściekła ślepo parła w kierunku czarnego samochodu. Wsiadła i przekreśliła kluczyki. Dla kogoś, kto jeszcze spał w naszej posiadłości, ryk tego diabelstwa musiał stanowić iście przerażającą pobudkę. Nie ujechała zbyt daleko, z impetem zatrzymując się na żelaznej bramie. Dobiegł do niej i resztkami sił wyciągnął z auta. Pierwszy raz w życiu, rozczarowało mnie czyjeś ocalenie. Przeżegnałam się, prosząc Boga, by wybaczył mi bluźnierstwo. Dlaczego wtedy przeżyła? Ileż cierpienia zostałoby mi zaoszczędzone, gdyby tamtego mglistego poranka śmierć dokonała swego dzieła?

Odsunęłam krzesło i wyszłam na hol. Bordowe ściany zdobiły portrety ślubne kolejnych baronów i baroness. Dostojnych mężczyzn i urodziwych kobiet. Zawsze szykownych, w najlepszych krojach i stylach charakterystycznych dla poszczególnych epok. Ciemne futra, atlasowe spódnice i całe mnóstwo biżuterii. Mimo że współczesna i skromna, to moja synowa wyróżniała się na ich tle najbardziej. Jako jedyni z Maxem nie zdecydowali się na malarza, a na pozał się Boże fotografa. Niewielka miniatura, sepiowy beż i brak pozłacanych ram. Za to bezwstydną pocałunek i długie kalie, zamiast pełnego szacunku spojrzenia na twarz małżonka i obfitego bukietu róż. Przyjrzałam się uważnie dyskretnemu uwypukleniu pod sukienką.

– Nigdy więcej nie poruszaj z nią tego tematu!

Max stał na tyle blisko, że czułam, jak krople jego śliny lądują na moich suchych policzkach.

– Ja tylko zapytałam – przyłożyłam dłoń do ust. Szminka zostawiła na nich blady ślad – kiedy łaskawie da ci dziedzica!

– Do kurwy nędzy – wytrzeszczył oczy, a jego usta ułożyły się w dziwnym grymasie – nie zamierza! Nie będzie więcej baronów! Po jej i moim trupie!

Skuliłam się w sobie. Nie wiedziałam, co przeraziło mnie bardziej: jego agresja, upór czy to, że wstawił się za tą dziewczką. Dotknął delikatnie moich pleców, pogłodził je i nachylił w moim kierunku.

– Mamo... mamo – poluzował krawat – przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłem. Wyjeżdżamy na kilka dni do sanatorium. Odpoczniesz od nas...

– Po co ją sobie brałeś? – Ukryłam twarz w dłoniach. – Ani nie ma urody, ani ogłady, ani pochodzenia! Założę się, że o jej majątku nikt nie słyszał. Nawet dziecka nie chce ci dać! Wybrakowana pod każdym względem!

Westchnął i odsunął się ode mnie. Spojrzał mi w oczy. Po jego twarzy przebiegł cień.

– Nigdy się nie zmienisz. Wykończysz nas wszystkich, ale postawisz na swoim.

Podszedł w stronę drzwi. Gdy je uchylił, dostrzegłam bursztynowe oczy mojej synowej. Lśniły nienaturalnie w mroku korytarza.

Otulił ją swoim ciałem, także nie mogłam dostrzec jej miny.

– Niczym się nie martw kochana, jutro wyjeżdżamy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Obuty w sztyblety wkroczył Max, zostawiając za sobą błotniste ślady.

– Dzień dobry matko – rzucił nawet nie patrząc w moją stronę – mam nadzieję, że dzień mija ci spokojnie. Będę w swoim biurze, bardzo proszę, by mi nie przeszkadzano. Zajmuję się ważnymi sprawami.

– Max, mam wrażenie, że nie widzimy się zbyt często ostatnio – zaczęłam łagodnie – może udałoby ci się znaleźć dla mnie czas.

Zatrzymał się w holu, ale nie zrobił nawet jednego kroku w moim kierunku.

– Obawiam się, że nie w tym tygodniu.

Nie czekając na odpowiedź, udał się do gabinetu. Tymczasem młoda pokojówka niepewnie zbliżyła się do mnie.

– Pani Baronowo, czy życzy sobie Pani, bym przygotowała Panią Baronową do spaceru?

– Tak – uniosłam rękę w górę, nakazując milczenie – ale sama cię zawołam.

Zakradłam się do pokoju syna, na całe szczęście drzwi były uchylone. Stał oparty o czarną ramę okna, a jego szary tweedowy garnitur pięknie kompono-

wał się z granitowymi schodami. Okalały go gryzący dym unoszący się ze staroświeckiej fajki. Ciemność tego obrazu przełamывały jaskrawy róż floksów i czysta biel chmur. Nie widział mnie, za to ja mogłam bardzo dobrze przyrzeć się jego “obowiązkom”. Na ozdobnym drewnianym biurku, które dostał w spadku po swym nieodżałowanym stryju leżała skórzana torebka mojej synowej. Max rozsypał jej zawartość po blacie, wyraźnie czegoś szukając. Nie rozumiałam, co mogło go zaintrygować w tym niedbałym stosie, na który składały się: jej ulubiona szminka w klasycznym pudełku, kilka pomiętych kartek wypełnionych niedbałym pismem, parę pożółkłych fotografii i jakieś śmieci. W końcu dostrzegłam znajomy flakonik. Było jednak za późno, by skupić na nim wzrok.

– Prosiłem mamę – Max podbiegł do drzwi – by mi nie przeszkadzano!

Wypowiadając ostatnie słowo, zatrzasnęła mi je tuż przed nosem. Rozzłościł mnie i zasmucił jednocześnie.

– To jej sprawka – zgłębiałam palce w pięści, zamykając w dłoni swój krzyżyk.

Widząc, że straciłam dzisiejszą szansę na spotkanie z synem, postanowiłam udać się na spacer. Ogród w mojej części był utrzymany w stylu francuskim. Porządek, harmonia i symetria, o którą dbało pięciu służących, dawały mi poczucie bezpieczeństwa i zapewniały aż nadto estetycznych doznań. Max z moją synową często kpili z tej przewidywalności, ale nigdy nie brałam tego do siebie. Zapuszczali się tu niezwykle rzadko.

– Nie wiesz, co oznacza wyjazd do sanatorium? – Zaprzysiężniona hrabina zasłoniła dłonią usta.

– No oczywiście, że wiem – przysiadłam na jednej z marmurowych ławek – leczenie, odpoczynek, łaźnie, a może solanki.

– Kochana – moja rozmówczyni spuściła wzrok – twoja synowa... Och, nie ja powinnam ci o tym mówić!

– Skoro już zaczęłaś – trzymanie nerwów na wodzy, stanowiło dla mnie nie lada wyzwanie – to dokończ!

– Ona była w sanatorium dla nerwowo chorych!

Spojrzałam na znajdującą się w oddali fontannę. Nagle jej szum zrobił się nie do wytrzymania. Wbrew kurtuazji wstałam. Nie mogłam tego znieść! Mieszczanka, artystka, a do tego, jeszcze wariatka! Poczułam, jak kręci mi się w głowie. Podeszłam do pobliskiego żywopłotu i zwymiotowałam. Zaniepokojona hrabina podążyła za mną i położyła dłoń na moich plecach.

– Kto wie? – Wydusiłam w końcu z siebie.

Jej twarz pobladła i zrobiła kilka kroków wstecz.

– Mów, kto wie!

– Wszyscy – wzięła głębszy oddech – wszyscy wiemy. Kilka tygodni temu, Max upił się w klubie gentlemanów i opowiedział panom, o tym, że jego żona cierpi na cyklofrenię...

– To nie może być prawda! – Wyprostowałam się i spojrzałam w oczy hrabiny – myślę, że nasza wizyta dobiegła końca.

Czy kiedykolwiek będę mogła przejść przez ogród bez tego fatalnego obrazu przed oczami? Wspomnienie po raz kolejny zabiło we mnie radość z doskonale dopracowanego widoku.

Udałam się do rezydencji, gdzie jak zwykle czekał na mnie już gotowy posiłek. Wiedząc, że Max nie dołączy, zaczęłam jeść. Srebrny widelec zalśnił w mojej dłoni i z łatwością przebił zapieczoną skórę kaczki. Tamtego dnia, również serwowali tłusty drób.

– Nie mogłaś się powstrzymać? – Max rzucił serwetką, a moja synowa ze łzami w oczach patrzyła mi na dłonie. – Skoro już tak bardzo chciałaś wiedzieć, dlaczego nie przyszedł do mnie?

Moje palce mimowolnie wystukiwał rytm. Mimo że czułam, że mam rację, tak trudno było mi się postawić. Ona nie przypominała dawnej siebie. Przytyła, a jej bursztynowe spojrzenie zmatowiało. Jej skłonność do ironicznych żartów, gdzieś się ulotniła. Nie błyszczała w towarzystwie, a całe dni spędzała z Maxem “odpoczywając”. Podczas jednego z ich spacerów zajrzałam do sypialni młodych małżonków. Wbrew ostrzeżeniom pokojówki, zaczęłam przeszukiwać szafki i szkatułki. W końcu znalazłam: flakonik z ciemnego szkła i długi opis zaleceń lekarskich. Musiałam nas chronić!

– Nie dość, że przyprowadziłeś do domu obłąkaną, to w dodatku – ze swojej ozdobnej torebki wyjęłam opakowanie z tabletkami – to w dodatku morfinistkę!

Na początku obydwoje zastygli. Moja synowa wyraźnie poruszona odsunęła krzesło i nie czekając na asystę lokaja, ruszyła w kierunku komnat.

– Mnie już wystarczy – spojrzała mi prosto w oczy – dziękuję za wszystko.

Max chciał pobiec za nią, jednak zatrzymał się i wycodził:

– Jesteś obrzydliwa! Do granic możliwości obrzydliwa!

– Ja? – Podniosłam się z trudem, a czujny kamerdyner złapał moje chude ramię. – To ty wybrałeś sobie na żonę tę ladacznicę! Mieszczankę z pochodzenia! Uzależnioną i nerwowo chorą! Zhańbiłeś nasze nazwisko! Zhańbiłeś tytuł, który został ci powierzony przez Boga i króla!

Wykrzywił usta w grymasie. Jego oddech był ciężki i pulsujący.

– Nigdy więcej nie nazywaj mnie swoim synem!

Widziałam, że chciał coś dodać, jednak nie zdążył. Obydwoje usłyszeliśmy strzał. Krótki. Szybki. Mignięcie w czasie. Cisza przestała mieć tę kojącą lekkość. Zamarłam, a oczy mojego dziecka zwilgotniały. Jakby znowu był

małym chłopcem, który się przewrócił. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy ojciec go ukarał. Przez chwilę stał się bezbronny. Służba również znieruchomiała, przyglądając się jedynie naszym reakcjom. Odsunęłam się od stołu.

Powoli ruszyłam w kierunku schodów. Zatrzymało mnie gwałtowne szarpnięcie.

– Ani mi się waż. – Głos Maxa był wręcz lodowato zimny. – Ona by sobie tego nie życzyła.

– Nie jesteś gotowy na ten widok – strząsnęłam jego rękę.

– Nie jestem już dzieckiem – wyminął mnie – a ona jest moją żoną.

Wbiegł po schodach na górę. Po chwili usłyszałam krzyk. Zwierzęcy, dziki wrzask. Ten dźwięk ogłuszył mnie i pozbawił tchu. Oparłam się o poręcz i poczułam jak osuwam się na miękkie, perski dywan.

Po obiedzie udałam się na zabiegi pielęgnacyjne. Moja synowa ich nie znosi, ja jednak uważam, że należy dbać o siebie w każdym wieku. Być piękną i stanowić ozdobę dla swojego męża. Nigdy nie mogłam pojąć, co urzekło Maxa w tak pospolitej urodzie.

Przez kilka, ciągnących się bez końca zimowych miesięcy, zajął się malowaniem. Użył jej olejnych farb. Długo nie chciał pokazać, nad czym tak właściwie pracuje. Zamykał gabinet na klucz. Nie reagował, gdy zwracałam uwagę na nieporządek, który zostawia po sobie moja synowa. Ani na to, że poświęcając jej całą uwagę, zapomina o starej, schorowanej matce. Dla niego liczyła się tylko ona. Na wiosnę ukończył swe dzieło. Któregoś majowego poranka bez pozwolenia wparował do mojej sypialni. Podobno kamerdyner nie był w stanie go powstrzymać. Samodzielnie zawiesił obraz naprzeciw obszernego łóża.

– Jak odtworzyłeś ten kolor? – Wzdrygnęłam się na widok znajomych oczu.

– Zmieszałam paloną sienę, kadmową pomarańcz i złocistą ochrę.

– A usta? – Byłam doprawdy ciekawa. – Idealnie dobrałeś odcień jej ulubionej szminki, ale jakościowo odstaje to od reszty.

– Bo to jest jej pomadka. Użyłem jej zamiast farb.

Po zabiegach udałam się na spoczynek. Pokojówka pomogła przebrać mi się w satynową nocną koszulę. Nie byłam głodna i zrezygnowałam z kolacji. Ta kaczką była aż nadto sycąca. Zmówiłam wieczorne modlitwy, choć klęczenie sprawiało mi coraz więcej trudności.

– A skąd ten pomysł, by akurat w mojej sypialni wisiał jej portret? – Spojrzałam na Maxa schodzącego z taboretu. Obraz wisiał idealnie. Srebrna rama doskonale komponowała się z białą suknią. – To twoja żona, a dla mnie to tylko synowa.

– Mam nadzieję – ucałował moje czoło – że sobie kiedyś przypomnisz.

Wyszedł bez słowa, a ja podeszłam do malowidła. Mimo słabego wzroku dostrzegłam nakreślony z dbałością czarny zapis: Matylda.

Moja synowa. Pierwsze promienie słońca padały na jej bursztynowe tęczy, a ja rozpoczynam kolejny dzień. Max pewnie znowu gdzieś z nią wyjechał, a ja zostałam sama z tym przeklętym portretem. Max kiedyś powiedział mi, że przypomnę sobie, dlaczego wisi akurat tu. Ja jednak jedyne, co pamiętałam, to dzień, w którym przyprowadził ją do naszego domu.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

ADELA KUIK-KALINOWSKA

ADÓM (LEŻÔŁ JEM PÒD ZEMIĄ...)

Leżôł jem pòd zemią...

Kòrzenie jodlë cãżczé òd brunatny żewicë
ë piôszczësti zemie òplotlë mòje nadzé całò
i wbiłë sã w żelë, bë napic sã mòji gãsti krwi.
Z jich żewiczny lepkòscë
w ceplëch rãkach lepił ji żewicã na òczë, na brodówczy ë głãbòczy pãpk.

Pòwiédz że mie...

czë czëjesz drzenie mòjégò całà?
Òd wiôldżégò pòlca ù nodzi pò sóm kùnc włosa?
Nie bãdã schòwónym w zòrnach jabłka,
nie zlàknã sã czòrnégò ùsznika i jegò kolca,
jaczì chcòłbë ùkàsëc Twój serdeczny pòlc...
Szmaka złotì renetë i ji soczi jesz ceknã pò brodze.
Mòja jedinô...
Nen sok jesz na naszych lëpach i na naszych jãzëkach.
Nie wiem, ju czë to je twòja, czë mòja w nich sëła?

Pitòsz sã wiedno w kòżdã noc,
czë móm ju przërëchtowóné nasi łożë,
pòd jabłónką w nòrcëkù dzëczégò sadu?
Splotlë sã nasze całà w jeden pień i czëpe drzew.
Ach! przinđze sã nama przëòblec w ruchna słuńca,
a pierszi parmién wëdò nama miłotë brzòd.

Leżôł jem pòd zemią.

Bëło tam czësto cëchò, ani wiatru, ani szeptaniów trów.
Miãtkò wëcyglë pò nas kòrzenie jodlë cãżczé òd brunatny żewicë.
Teròzka bãdzema òddëchac pòd zemią.

Wzãł jem jesz rôż sztëczk jabka z ji rãzi
i wnet òdemkł sã dlò nas pòdzemny rôj...

BIÔŁÉ KALIE

Ždôł jem waju
we wespółinkach mòji matczy
biôłi żëwicë òbleczony swiatłã
tak czësti i jasny
że leno śmierc kòna ù jich wezgłowia.
Pòwiôdała, że to je kwiat pamiãcë
taczy niepòslédny jak płatczy śniegù
ò wschòdze słuńca
jaczi żdają abë sã przebùdzëc
z tamti stronë na ten swiat.
Nalôżł jem jich tësące
na skraju gdzie nicht nie szukô
bëlë samòtny nicht nie plewił zemi
jô – kalie zakwitają dlô żëwëch
a szeptałas, że to je kwiat śmiercë.
Dlô miã òżił w strzòdkù zëmë...

SZCZĄSLĘWÔ SMIERC

Ta wòjna
rozpiãtô
je
pòmiedzë całã a dëchã
òddech i zatoczi plëc
równają swój biég
głãbòkò i mòckò.

Òddech
rozpiérô jizbë plëc
jesz z nama je spòkój
bë schadac na dno
mòrszczi głãbinë
i dotknąc nie-martwégò
nie-pòjãtégò lëdzczim rozëmã.
Serce
rwie sã żëcym w górã
nie-nazwóné
w trwanim
tak wiele nama dôwô
a dlô se nie chce nick
nie ùstówô.
Krew pùlsëje
w wëżłobionëch kòrëtach żël
tłoczi
w òczach je ju pùsto
zrenice miłoserdzô
błagają
ò szczeslëwą smierc.

HEROJA

Piorën bël wiedno cwiardi jak kamién.
Cwiardi i sëny.
Jaz żëlë nabrzëmiałë krwią,
jakkbë chto skrącył pòwrozã casno
òplótl wkół szëji.

Dzëwczãta rozpòwiôdalë ò nim òd wiedno.
W spikù bëlë jaz mòkré òd rosë.
A grzëpa bëła rozległò jak skalë Kaùkazu.
Jaz dzyw, że mëmka nôtëra tak bòkadnò bëła...

Wiedno Òn gòtowi do boju,
wiedno pòstawny i szëkòwny.
W tim wiszniowim kapeluszu
stojòł jak szandara na strażë.
Sekł białczy jak żëto, co dozdrzënieje z rokù na rok
a w noc swiãtégò Jana bùlgòcze jak bùdla wina
z czòrny swiãtojanczi.

Piselë ò nim,
ò jegò wëczënach w miłoce.
A drëdżégò taczégò ni mòżna nalezc
nawetka w karczmie
„Pòd pùlchnym słodczim”.
Leno ten
z bùdlą piwa, ze smarą we włosach
i grzebieniã w bùksach, na slòdkù.
Jistny heroja!

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

KRYSTYNA LEWNA

GNIOTE*

Cze Agnieszka obroniła swój dokoz na Weźszy Szkole Szteczi Piąkne, te zaproszela swoja matka chrzestno na jubel. Agnesa chątno, ni mia nick cekawszego do robote. Poczadzy do bratowe, perna ji podokuczo i naji sa, a późni przin-dze dodóm.

Przeszła punktualno. Na podworzu stojol wioldzi namiot, a w nim usta-wione stole i lowczy.

– Mest tu bdze nas sporo? – pomeslela goscka i zare sa wita z zabiegó-ną bratową i brata. Po muni tech dwojga belo widzec, że nie je jima na rąka Agnese przebece, chterna wszetko dobrze skomenteje i jesz rozgorzi innszech, zacnech, a nietepowech goscy ze szkole weźsze i te nasze spodleczne.

Bracyna ja poinstruowol, co może gadac, a czego nij. – To mest Marce rze-cze! – zdenerwowa sa bialka, bo co jak co, ale ji nigde szeku a kulture nie bra-kowa. Jednak nie bdze sa jiscela tim swoim zaląklím bracinóm, co sa nawetka swojego cenio boji. Bdze tu sedza, bo je zaproszono.

Agnieszka sa wegrzeba w taczim paradnim kledze w lilewe kwiate, na-glowie mia winc z różnych drobnych różow. Wezdrza jak na swiętego Jana, be mia jisc i sa szlapac w wodze. Ale Agnesa ja pochwolela nym swoim fal-szewim uznania, co to nibe artystom przenologo na era, bo do prostech ledzy to doch nie je do pomeszleni.

Naroz wiachol „katering”, jak no to Marta nazwa. Dwóch wesoczech be-nielkow w biolech szertuchach i sztram postawionech mucach, wenoszale z autła zamarynowóne szteczi swinszczonego i kurzego mięsa, worszte, rozma-ite koloczce, pomidore, górczi, paprika, cebula, pieczarczci.... Do te jesz dwie sa-latczy z biole kapuste i kucha.

– To bdze cos! – pomeszlela Agnesa i sa zare wesztramowa, be lepi widzec, jak oni no mięso bdą piekle.

Dim buchną. Marta scigła z glowe na chusta, co ja mia od nech przecągów chronic. Wezdrza na brama. Goscy jesz nie blo.

* zachowano pisownię oryginału

– Póda sa perna poczosac! – oznajmila, ale Agnieszka ji z polska rzekla, że nie musi, bo je noforszniszą memą na swiece.

– Akuratno! – pomeszlela Agnieszka – jak to je noforszniszo mema na swiece, te jo ju sama nie wim, jak no wezdrzą te brzedcze? A smioc ji sa chca, że malo co, a be mia porsknione, ale sa nie da poznać. Skrela gąba w chusta i udowa, że kaszlo, że to od nego greła ja tak deszi. Nie do doch sa weproszec z tacze zacht goscene, bo ta jesz sa nie zaczą, a ju je wiesolo.

Wjachale kedzi z piwa. Brat przeniósł plastikowe topczy. Miolbe sa zare i jedno nalóne, ale nie wiedzol, jak to rehti sa właczno. Nie chcol zepsec.

Pchla czadzela do purte. – Gosce jidą! – wrzasną Marta i sa sta czerwiono na gąbie. Ponagla swojego chlopa, żebe nen drawą czadzol, a szczerza odnekol, cobe nikogo nie urzar.

– Ten ale je welech! – mesli Agnieszka, wzerając jak no blós korczy tak fledreją na jego szperach.

Wloz kwiotk polsze edukacje, nasz miejscowi szkóli, stori pita, Milosz.

– Pojce, zaproszóm do bena! – godo gospodarz, a Agnieszka sa do niego zare przemilela i z polska rzekla, że to dząka jego insztrukjom o obrazach ona na krajamnota malowanigo poszerzela.

– Jasne! – pomeslela Agnieszka, z niego je tacz mester szteczi malarszcze jak jeno ze mnie. Ten akuratno móg w kogosz rozbudzec cekawosc swiata. Stori, spiti parch, co sa do niczego jinszego nie nadowol, jak no blós do uczenigo malenkow. Czebe nij jego tatk, co no derektora te szkole bel, ten czlowiek, be sa ni miol w zódnny jinszi roboce utrzmóno. A tere je ju streszi. Pic nie móże tak wiele. Mo na swoja emerytura i sa mądreje. Nierobus jeden. Mester...

Milosz wezdrzol na Agnieszka i nie chcol ji poznać, jakbe czyl, co ta o nim w dechu sa meslela. Ta jednak glosno i po kaszebsku zaprosza go do se.

– Móże jinszim raza! – zmówiol sa chlop, chutko podając rąka, bo nie bel pewni, z czym Agnieszka móże wepalec, a tam doch bdą jesz jinszi ledze, uczony z miasta. Bezpiecznij bdze prze Marce, ta je tako bojazlewo. Nie wali wszetczego prosto z moste.

– Nawetka to ji lepi, że nen strech sa nie chce kol mie sadną, bo jo tak poczela, że on samema pezame smierdzi – poceszela sa Agnieszka i wzera na nego greła, bo jim dleži tu bela, tim głodniszo sa robila.

Marta derch sa jiscela o pogoda; – Żebe to blós nie da zódnego grzmotu, bo te je pozamiotóno! Derch webiegowa z nego namiote i wzera w niebo. Klate ji sa plątale od wiatru, co no tak szed falame i podrzucol wszetko, co napotkol na swoji drodze. To le tak zawirowa, a cali nen misterni, celtowi przebetek zibol sa, jak no nie wim co.

Wlose Marta mia letko lilewe. Agnieszka ji to zrobila, taczim specjalnim płena dlo starszech bialkow. Nie wezdrza to lecho. Tu nawetka i Agnieszka be sa

ni mia do czego przekleic.

Goscy dobiwa. Robiol sa trzosc i nen pisklewy glos Agniesze, chteren Agnesa be pozna nawetka zza grobu, przebijol calo reszta. Magistra dostowa różne tacze drobne darenczi; wino, kwiate, ksążczy, plótno nacegle na drewniane rame, odimczy... – ko rehti bele co – pomeszlela Agnesa w dechu.

Przejachol na kole ji promotor, pón Pąpk. Deszcz go dopod pod drogą. Wloz w nech swoich krótczech bukskach i wezdrzol, jakbe sa oszczol.

– Tak to ju biwo z ną pogodą w czerwincu! – usprawiedlewiol sa. Na głowie miol mucka z wąższcim daszka i wepezglunim sztrika „sport”. Bela kusk za molo na jego lep i spoda mu na brele, chterne sa zare cale zaparowale od nego ceplego lefte, jaczi go przewitol w namioce. Nodzi jego przestrojone w dwie różne farwe sztrefle, mocno bele zapięte w brune, skórzane zandale.

– Co za dachlunik! – prawie pólglosa wepowiedza Agnesa, chterna straceła jakbe nad sobóm kontrola, ale okoza sa, że nie panowa nad slowame.

Kuchorze podowale fejn spieklo karkówka, pierse z kurow, skrzydelka, ceple worszte ocekające setim i do te zemne piwo. Ledze przestale gadac. Zająle sa swoje porcjame na plastikowych, wierzgających sa talerzach. Agnesa też zacza żogowac mięso. Muszela dlugo wilowac nym plastikowym noża, co to derch ji sa zeslizgowol z ny gafle. Do te jesz szteczczi malincze sa kroila, żebe nie daj Bóg, sa nie udlowic. Do piwa wczitrowa sa telefelka cekru. Zamiesza i piana podnosza sa z topka. Chutko dopadla gąbą rantu i lakomo spija szum, aż ji to w nosu zadrenowa.

– To je dobre! Zemne! – rzekla na glos i zare gosce sa nią zainteresowale i dopitowac zaczęle, cze ona jaczisz alkohol pije, jak jo te jaczi? Cze woli piwo? Cze może wino? Jak wino, te jacze; miodne, kwasne...? – Żódnego! – odpowiedza. – Tak mie no kwasne wino zbrzedlo bez na moja sąsodka cekawo bialko, co jeno no żurowate pila, aż sa to dlo ni lecho skończelo. Jo, jak ju co, te albo brzadowe, co sa sama nastawia kruk, bo zare sa przepomna, że doch wiedno Marce na święta przenoszo tako budelka, abo sa tak, jak je ju tako cheta, te jedno abo dwa cemne piwa wepija z nego drodzigo krómu „Miedzwiotk”. Tak nie pijóm niżódnich jinszech napojow, jak no ruta.

Co to je na ruta? – dopitewale. – Jak no sa po polsku zwie? Cze to je jacze narkotek, lek, cze co?

– Normalno ruta, co wsządze rosce. Na żolódk, a jinsze doleglewosc po mogo. Jo le sa tak zaparza bacherk, a te popijóm cali dzień. Że „piołun, opióm” wa godota to je, ko nij doch, to je nasza ruta, szerechno a pospoletto, co służy na wszetko. Nawetka jak krowa sa celela, te sa ji tak ukraćelo i do wamburka z ceplą odą ... i tu ju nicht nie zwrocol uwadzi na storo Agnesa, bo na podwozrze wiachol motór. Pchla sa zrzasała i wlaszla pod stół.

– Milka i Sandra! – wiesolo podskoczela Agniesza i sa poprawila wińc,

chteren derch ji sa zeslizgowol na lesena.

Do bena wczadzele dwie bialczy, tak osoblewe, że Agnesy nie uda sa wlo-
zec mięsa w gąba. Zazdrza sa i karkówka spadla pod nodzi.

Wioldzie biolczy w mocno lilowych klatach, tak jagodowych, że aż rażą-
cech w ślepiu. Marcene włosy wepadale bladzechno. Obklele w przelegają-
ce skóropodobne ruchna. Z buksow welewale sa jich tleste slodczy i brzeche.
Wioldzie krale i różowe brwie.

– Są partnerkame! – podslecha Agnesa, że to nibe tak ledwo sa utrzyma
na jich wiolgo milota, bo bela sa midze nich jesz jakosz jinszo zakróncela,
co z Anglie wrócela i zare zacza Milka do se wabic, a ta Sandra bela zazdrošno.
Jiwer tacz sa dzol na ni weźsi szkole, bo koźdi stojol po stronie Sandre, a nij
ti cezy, co ledwo, co wrócela a ju chca związk rozdzerac.

– Aj Boże, co to je za bezeczeństwo! – pomeszlela storo. – To aż nie je do
uwierzeni!

W nim wstol Pąpk i proszol o uwoga, bo chcolbe perna słów na tema do-
koze swoje, jakże piękne a uzdolnione sztudentzi rzec. Bel ju perna podpity.
Bukse zdążele mu z wierzchu przeschnąć, ale derch widzec belo plama. Prze-
car brele i zaczą godka, że trzeba miec w se wiele odwodzi, be obroz Gusta-
ve Courbeta „Pochodzenie swiata” badac. Pokazeje to, że Agnieszka, choc mo-
drobnechno postawa, to dech w ni żeje wioldzi.

– Jo sa ze smichu zesmrodza! – pomeszlela Agnesa i zacza gąba chustą za-
krewac. Zare też sa przepomna ne wszetcze swoje darencki, chterne od Agnie-
sze dosta, osoblewe bele dwa; „Serce Jezuska” i „Jezus upadający”, co do bial-
czonych punow są podobne. Tere wie, czemu ji bratowo, co no podobne da-
renczi otrzymywa i otrzymuje, trzimo je wszetcze pod specjalną polecą, na
chterny stoją gaste aszparaguse. Wiedno odpowioda, że „Pón nasz musi w ce-
niu odpoczewac”, ale tak rehti te ji bela sromota, że porno na scanie wisy.

Marta sa zorientowa, że ji szwagerka to je Judosz, że sa smiejie w żewe
ocze, reszta bela przekonóno, że ta krzecz ze szczesca.

„Turecczi diplomata Chalil Bej...” – cygną chłop, nawiązując do historie
namalowanigo obraze, bel rozrewkowim a baro bogatim człowieka, co kochol
bialczy. To kochol, trzeba sa też wzać w jaczisz domesl. Godol i godol. Agne-
sa widza ta nago puna, co ji ja Agnieszka w telefonie pokoza i tera bela cekawo,
co oni jesz ji tu zafundeja.

Chca rzec, ale sa zaczą kol nij kaszel, chca rzec, że nie musi bec zódnim
naukowca, że to ju od czile lat gdale, że swiat na punie je zbudowóny.

Wreszcze nen strech pod sóm kuńc rzek, że franceszczi psychoanalitik Ja-
sques Lacan poznol sa na nim dzele, co no derch abo pod gardiną, abo za jin-
szim obroza belo trzemónie, że to je tako głęboko nasza udba, co móme dwa
obroze, że jeden na wierzchu a dredzi bene. I to ostatne sa baro Agnesy widza,

bo wiedza, że ledze są fałszewi, udowają. Ona tego ni mo. Mo le jedna tworzą. Je szczerzo i nie można ji nick zarzec.

Tere wezdrza na Pąpka perna lagodni, ju nie przeszkadzale ji nawetka te jego mokre bukse. Klaska brawo i macha do niego. Ten sa zare kol ni naloz i zaczą ja chwalec, że mo tako werazisto gąba, że pomarańczarka Gieremsczego mu przepomino. Agnesy sa zrobilo tak przyjemno. Weproszczela sa na lawie, choc przed sztuceka czela, że ja boli w puklu i chca nawetka jisc sa chalc z bude stulk z opiarciem. Tere nie godo, że ja co boli, le lowi slowa, co ja mitko szrubują kol serca. Mo wdeptnąc na uczelnio, cze bdze w Gduńsku. On ja pokoże swoim studirom. Bdą zadowolony. Kaszebszcze bialczy fejn sa maleje. Są tacze osoblewe.

– Alaweter! – pomeslela Agnesa – to be belo cos. Taczi portret... Zare be so go wremia w dum, na samo weńdzeni, żebe wszetce widzele; briwka, Milczeno, i nen marny strech, co ja o ukradnieni Fukusa derch podejrzewo, nawetka ksądz, be złoczol, jak na koląda przindze. Powiesy siebie stronóm Matczy Boszcze te we widkach. Na ti sami wesokosce. Krziż perna przesenie w stro na dwerze i bdze do ni plachc. Ko to be belo cos! Lepsze nawetka jak nowi tepisz, co ona goda, lepsze jak nowe dwerze. Tako Agnesa na scanie w dumie witając wszetcech, co nen próg przeńdą. Bdze na nich wzera swojeme slepiame i sa letko usmicha. A może jesz podnie sie polc, jakbe grozela, jakbe ja mie sie slechac? Gorzi bdze, jak ny artisce ja tak wesztramują, jak no Agnieszka zrobila z Pana Jezeska – puna. Te to bdze wstid! Te to schowie abo spoli. Nie do sa osmieszec!

Rzekla, że sa zastanowi, a nim czasa stori Milosz w nim weszwiechtónim ancuchu przemowio. Jesz nie bel užarti. Jesz sa trzimol. Wspomino uroklewe malenczi Agnieszce, w chternech odraze widzol jaczysz głąbsze jiwre swiata. Godol dosc pomale, bo mu derch gebes chcol wepasc. Bel osleniony. Aż w kuńcu dopowiedzol, że widzy w Agneszi pochodzenie swiata i gosce zamarle.

– Stóri pita, nie wiedzól ô czym je nen Courbetowi obroz – pomeszlela Agnesa i dopita sa na glos cze od glowe, cze od nóg? Wszesce sa zaczęle smioc, blós nij Milosz z Martą. To dwoje stoja jak zamurówunech.

Milosz sa na to wszetko dopil a Pchla gonila z jego gebesa.

– To ce je dobrze! – rzekla Agnesa, podnosząc sã z lawë. Na ôdchódnim jesz nie ômieszka sa spetac swòje bratowe, co ôni chcą Agnieszki za etat zala twic, że sa tak wekòsztowale i tech cedownech ledzy tu zwlekle? Ale Marta ji nie ôdpòdowiedzela, zdrza z jakąsz niewepowiedzóną ulgą, jak goscka dzinie za purtą.

WYDAWCA

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
e-mail: mbp@biblioteka.lebork.pl
tel. 59 8622307

LINORYTY:

Amelia Pobłocka

ISBN 978-83-60731-49-9

WYDANO NAKŁADEM

Miasta Lęborka
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

DRUK

Drukarnia BOXPOL Słupsk
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel. 59 842 43 71
e-mail: druk@boxpol.pl
boxpol.pl